

Stanisław Stratijew

Owca

Stanisław Stratijew

Owca

Przełożyła Hanna Karpińska

[www.stanislavstratiev.org](http://www.stanislavstratiev.org)

Owca

© Stanislav Stratiev, 1976

© Hanna Karpińska, 1984

© Aeolus Project, 2012

Wszystkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być powielana ani rozpowszechniana za pomocą urządzeń elektronicznych, mechanicznych, kopiujących, nagrywających i innych bez pisemnej zgody posiadacza praw autorskich.

## OSOBY

Iwan Antonow

Urzędnik

Ewgeni

Żoro

Dermendzijewa

Wiszący

Żona

Syn

Kierownik zakładu

Człowiek w garniturze

Lekarz

Gospodyni

Iwanow

Chłop I

Chłop II

Diko

Fryzjer

oraz pielęgniarze i obywatele w kolejce do fryzjera

Akt pierwszy

*Zakład fryzjerski, Iwan Antonow czeka na swoją kolejkę, ubrany w nową zamszową marynarkę. Czekając czyta jakieś czasopismo. Wchodzi Fryzjer.*

FRYZJER. Który z panów teraz? Proszę bardzo.

*Iwan siada na fotelu.*

Słucham pana?

IWAN ANTONOW. Proszę o strzyżenie.

FRYZJER. Strzyżenie... Rozumiem. Kręci się, strzepuje ręcznik.

IWAN ANTONOW. Krótko. Żeby nic nie sterczało.

FRYZJER. Rozumiem. Wszystko będzie, jak pan sobie życzy. (*Nagle patrzy na szyję Iwana Antonowa.*) Ale przecież pan jest ostrzyżony!

IWAN ANTONOW (*wyraźnie skrepowany*). Nie chodzi o mnie. Chciałbym, żeby mi pan ostrzygł marynarkę.

FRYZJER. Co takiego?

IWAN ANTONOW (*bardzo skrepowany*). Żeby pan ostrzygł marynarkę.

FRYZJER. Żeby ostrzygł marynarkę?! Krótko?!

IWAN ANTONOW. Krótko. Żeby te włoski nie sterczały.

FRYZJER. Rozumiem. Mycie z masażem też pan sobie życzy? Trwałał ondulację, czesanie na szczotkę?... Nie życzy pan sobie?

IWAN ANTONOW. Nie, nie, tylko strzyżenie.

FRYZJER. Tylko strzyżenie. A może kompres olejowy w celu wzmocnienia włosów?

IWAN ANTONOW. Nie, nie, dziękuję. To zbyteczne.

FRYZJER (*prawie krzyczy*). A cóż pan taki skromny? Tylko strzyżenie, rzeczywiście!... Inteligencja! Że chodzicie z aktówkami, to już możecie robić, co wam się żywnie podoba, tak? My tu przez cały dzień harujemy, a wy jesteście ludzie z fantazją, pójdę do fryzjera, każę mu ostrzyć marynarkę, a potem cała Sofia będzie pękać ze śmiechu...

IWAN ANTONOW (*skrepowany*). Ależ co znowu, zaraz panu wszystko wytłumaczę...

FRYZJER. Urządzamy sobie z ludzi kpiny, tak? Bośmy tacy inteligentni, nie, tylko czytamy i czytamy. A fryzjera można nabrać!...

IWAN ANTONOW. Nie rozumiem, czemu się pan złości. Chcę tylko, żeby mi pan ostrzygł marynarkę, nic więcej. Nie widzę w tym powodu do obrazy. Gdybym umiał to sam zrobić, wcale bym tutaj nie przychodził. Ale nie umiem, to jest moja pierwsza taka marynarka.

FRYZJER (*w nagłym olśnieniu*). Tak, tak, tak... rozumiem, rozumiem, ma pan całkowitą rację. Oczywiście, wszystko w porządku. Tylko momencik, zaraz tu wrócę.

*Idzie do Kierownika zakładu, który pracuje przy ostatnim fotelu, i odciąga go na bok.*

FRYZJER. Wariat!...

KIEROWNIK. Co?!

FRYZJER. Wariat. (*Wskazuje głową.*) Na moim fotelu.

KIEROWNIK (*patrzy na Iwana Antonowa*). Coś ty!

FRYZJER. Pewnie uciekł. Chce, żebym mu ostrzygł marynarkę...

KIEROWNIK. Coś ty?!...

FRYZJER. To wariat. Gazetę też czytał do góry nogami.

KIEROWNIK. Coś ty!...

FRYZJER. Ja to mam szczęście.

KIEROWNIK. Cały zakład nam porozbija. Jak potem zaczną potrącać... A może byś mu ostrzygł tę marynarkę?

FRYZJER. Czyś ty zwariował? Rzeczywiście, ostrzyc marynarkę!... A skąd wiem, co mu strzeli za chwilę do głowy?

KIEROWNIK. Brzytwy pochowałeś?

FRYZJER (*blednie*). Nie.

KIEROWNIK. Jeśli je złapie... Musisz go stąd wyprowadzić.

FRYZJER. Czemu ja? To ty jesteś kierownikiem.

KIEROWNIK. Ale on siedzi na twoim fotelu.

FRYZJER. Kierownik odpowiada za wszystkie fotele.

KIEROWNIK. Gadanie... No uspokójże się, nic się przecież nie dzieje.

Wariata się boisz?

FRYZJER. Nie boję się, ale dzieci mam jeszcze male. Nie dadzą sobie rady bez ojca.

KIEROWNIK. Gadanie... Opowiadasz głupoty i tyle. Weź no się w garść, chłopie!... Może on jest z tych łagodnych.

FRYZJER. Nie pójdę do niego i już.

KIEROWNIK. No już dobrze, pójdziemy razem i niech się dzieje, co chce.

(*Podchodzą do Iwana.*)

KIEROWNIK. Dzień dobry panu!...

FRYZJER (*głosem Judasza*). To jest kierownik naszego zakładu.

KIEROWNIK. Kierownik nie kierownik, wszyscy jesteśmy równi. Tak stoi w Konstytucji.

FRYZJER. To teraz tak mówisz.

KIEROWNIK. Gadanie... W obecności klienta... jakże to tak... (*Do Iwana Antonowa.*) Wie pan co, w zakładzie numer dziewięć świetnie strzygą marynarki, dwie przecznice stąd... To wyspecjalizowany zakład, mają fachowców wysokiej klasy. Radzę tam iść, nie będzie pan żałował.

IWAN ANTONOW. Ale czemu tam, skoro już jestem tutaj...

Wstaje.

KIEROWNIK. Posłuchaj no pan – my i tak wszystko wiemy.

IWAN ANTONOW. Co wiecie?

KIEROWNIK. Wiemy, wiemy. Cóż, nieszczęście i tyle. Niech pan wieje, póki czas. Nie będziemy wzywać karetki.

FRYZJER. Skądże znowu, my też jesteśmy ludzie. Nic się pan nie bój.

IWAN ANTONOW. Ale o co chodzi?

KIEROWNIK. Jeśli ktoś się czegoś domyśli, to znowu tam pana zamkną. Tylu wariatów naraz...

IWAN ANTONOW. Ależ panowie, poczekajcie, przecież ja prosiłem tylko o strzyżenie...

KIEROWNIK (*obejmuje go i prowadzi do drzwi*). Idź pan najlepiej bocznymi uliczkami, gdzie mało ludzi. W śródmieściu lepiej za dużo się nie kręcić, bo jeszcze złapią... A jakby ktoś się czegoś czepiał, to udawaj pan wariata – jak gdyby nigdy nic...

*Wychodzą.*

FRYZJER. Udawaj pan wariata!... Normalnego przecież ma udawać, a nie wariata, ale naszemu też niewiele brakuje. Inaczej nie zrobiliby go przecież kierownikiem...

## Kurtyna

*Iwan Antonow, Ewgeni Żoro. Iwan opowiadaim swoje przeżycia w zakładzie fryzjerskim.*

EWGENI. I jak powiedział? "Udawaj pan wariata", tak?

ŻORO. A po co ma udawać? Tylko wariat mógł wpaść na taki pomysł, żeby kazać fryzjerowi ostrzyc marynarkę.

EWGENI. Dobrze, że cię nie odwieźli do szpitala.

IWAN ANTONOW. Już mi się sprzykrzyło wysłuchiwać uwag na temat tej marynarki. Czemu ma takie włoski, czy ją czymś smarowałem, może jakimś środkiem na porost włosów?... Kto tylko mnie w niej zobaczy, to zaraz: a może ją szyłem z jeży, ile jeży wychodzi na jedną marynarkę... Dłużej nie wytrzymam. Rzeczywiście miejscami sterczą z niej te włoski, ale innych marynarek nie było. Ta była ostatnia. Zresztą to nie ja wpadłem na ten pomysł, tylko

Żoro. A teraz udaje niewiniątko.

Próbowałem nożyczkami, ale nie dało się ich równo poobcinać. Wtedy Żoro mi poradził, żebym poszedł do jakiegoś fryzjera i poprosił o ostrzyżenie maszynką. Mówił, że maszynką wychodzi równo i że żadne włoski nie będą już sterczeć. A teraz twierdzi, że tylko wariat mógł wpaść na taki pomysł!

EWGENI. Nie trzeba było go słuchać. Ja mam lepszy pomysł. Właśnie o tej porze na wsi strzyże się owce. Jedziesz do jakiejkolwiek wsi, płacisz parę groszy chłopu, który je strzyże, i sprawa załatwiona.

IWAN ANTONOW. Rzeczywiście! Jechać specjalnie na wieś!... Nie ma mowy!

*Na wiejskim podwórzu strzyżenie owiec. Do Chłopa strzygącego owce podchodzi Iwan Antonow.*

IWAN ANTONOW. Dzień dobry. Jak tam robota, dobrze idzie?

CHŁOP I. Robi się, to jak ma nie iść.

IWAN ANTONOW. Ładne owce.

CHŁOP I (*obojętnie*). Spółdzielcze.

IWAN ANTONOW. Zapalimy?

*Częstuje go papierosem, palą.*

*Iwan rozgląda się na wszystkie strony, jakby miał zamiar Chłopa zamordować, potem wyciąga banknot i usiłuje mu go wepchnąć do kieszeni. Wreszcie mu się udaje. Chłop jest zaskoczony, ale nie okazuje żadnego sprzeciwu.*

Dałoby się ostrzyć maszynką tę marynarkę? Przez te sterczące włoski strasznie brzydko wygląda... Tak raz-dwa, co?

CHŁOP I. Czemu nie? Tylko że zapiszemy ją jako prywatną owcę, bo nasze są dokładnie policzone, a tam w kancelarii siedzi taki jeden i zapisuje. I na dobitkę wszędzie pcha swój nos, zaraz by się zaczął pytać, co to za marynarka, a po co, a na co, wybrzydzać...

IWAN ANTONOW. Dobrze. Niech będzie jako prywatna owca.

*Ostatnia ostrzyżona owca wysuwa się z rąk Chłopa.*

DIKO (*słychać tylko jego głos*). Piętnaście!... Dawaj następną!

CHŁOP I. Pochyl no się pan!

*Iwan staje na czworakach, Chłop strzyże.*

Ależ tego jest a jest... Jeszcze na rękawie... No, gotowe!... (*wołą*) Diko, tej nie zapisuj, to prywatna.

DIKO (*słyszemy tylko jego głos*). Jak to prywatna? A gdzie jest właściciel? Niech no tu na chwilę przyjdzie.

CHŁOP I. No, niech się panu dobrze nosi!

IWAN ANTONOW. Dziękuję bardzo, Wyszło właśnie tak, jak chciałem.

(*Wychodzi.*)

*Stół, krzesło, na stole kałamarz, butelka wody i gruby zeszyt. Za stołem siedzi Diko i drapie coś piórem. Wchodzi Iwan.*

DIKO. To pan jest właścicielem tej prywatnej owcy? Proszę dowód.

IWAN ANTONOW (*zdziwiony*). Proszę bardzo.

DIKO (*uważnie ogląda dowód i zaczyna wypisywać pokwitowanie*).  
Iwan Kirilow Antonow... ulica... seria SG... zero dziewięć... osiem...  
Siedemdziesiąt osiem stotinek. (*Wyrywa pokwitowanie z bloku i podaje  
Iwanowi.*) Proszę się podpisać. Tutaj.

*Iwan Antonow podpisuje się.*

Tak. A więc jest pan z zawodu...

IWAN ANTONOW. Językoznawcą.

DIKO (*nie rozumie*). Znaczy się...

IWAN ANTONOW. Zajmuję się językiem bułgarskim. Słowami, zdaniami.

DIKO. Rozumiem. I hoduje pan owcę?

IWAN ANTONOW. Tak.

DIKO. Hobby?

IWAN ANTONOW. Hobby.

DIKO. A gdzie pan ją trzyma? W mieszkaniu? Na balkonie?

IWAN ANTONOW. W wannie. Ja nie mam balkonu.

DIKO. W wannie? I ta owca tam siedzi?

IWAN ANTONOW. Nie ma innego wyjścia. Siedzi.

DIKO. Kto by tam zresztą nie chciał siedzieć w wannie. Ja na jej miejscu też  
bym siedział. I jest pan językoznawcą?

IWAN ANTONOW. Tak.

DIKO. Już dawno chciałem się was o coś spytać, tylko że... Czemu żeście  
skrócili Metodego?

IWAN ANTONOW. Jakiego Metodego?

DIKO. Cyryla i Metodego. Zawsze się nazywał Metodij, a teraz nagle – Metody.  
Czemu żeście go skrócili?

IWAN ANTONOW. Ja go nie skracałem.

DIKO. A kto? Może ja?

IWAN ANTONOW. Nie wiem.

DIKO. Tyle macie długich imion, a właśnie jego skróciliście. I co teraz  
wychodzi – tamten jest Metody i ten, co strzyże owce – też Metody. A on  
przecież nie wymyślił alfabetu, nawet go całego nie urnie, jedno, co umie – to  
strzyc owce.

IWAN ANTONOW. Kiedy widzi pan, ja się zajmuję strukturą zdania  
złożonego...

DIKO. Oddajcie mu stare imię!

IWAN ANTONOW. Ale przecież mówiłem panu, że ja się zajmuję czymś  
innym.

DIKO (*nie słuchając go*). Nieładnie nieładnie, młodzi ludzie i takie rzeczy...  
Oddajcie mu imię!

IWAN ANTONOW. To ja już pójdę. Do widzenia!

Kurtyna



*Hol instytucji. Odchodzą z niego schody, korytarze, są też szafy. Nad tym wszystkim w powietrzu wisi winda. Zatrzymała się między piętrami, widać liny. Wchodzą Iwan Antonow, Ewgeni i Żoro.*

IWAN ANTONOW. Poczekajcie tu na mnie, to potrwa tylko parę minut. Do jakiego kina idziemy?

EWGENI. Do "Witoszy". Zdążymy.

ŻORO. Zobaczysz, że cię wyśmieją. Ktoś ci zrobił kawał.

IWAN ANTONOW. Co za kawał, to już trzecie wezwanie, jakie dostaję. (Czyta.)

"Wzywa się obywatela do uiszczenia w terminie trzech dni podatku od posiadanej owcy. W razie niezastosowania się do niniejszego wezwania zostanie obywatel obciążony grzywną w wysokości od 100 do 4000 lewów i pociągnięty do odpowiedzialności sądowej."

ŻORO. A pod spodem? "Seksja ptaków wodnych"!... Odkąd to owca należy do ptaków wodnych, jeśli wolno spytać? Gęś – rozumiem, ptak wodny. Ale owca? Co z owcy za ptak? I co ma wspólnego z wodą? Mówię ci, że to kawał!

EWGENI. Całkiem w stylu dowcipów Żora. Ej, a może to ty ten numer wymyśliłeś, żebyśmy się spóźnili na kronikę!

ŻORO. Akurat! Na te "ptaki wodne" w życiu bym nie wpadł!

IWAN ANTONOW. Zaraz się wszystkiego dowiemy, to potrwa najwyżej parę minut. I potem pędzimy do kina. (Wychodzi.)

*Iwan jest w odpowiednim pokoju. Ogromne zielone szafy, kasy pancerne z błyszczącymi okuciami. Szafy z rozetkami. Za okienkiem siedzi Urzędnik.*

IWAN ANTONOW. Przepraszam, seksja ptaków wodnych?

URZĘDNIK. To tutaj.

IWAN ANTONOW (wyciąga wezwanie). Ja w związku z wezwaniem, które otrzymałem. Tu zaszło jakieś nieporozumienie.

URZĘDNIK (nie bierze wezwania). A lis?

IWAN ANTONOW. Proszę?...

URZĘDNIK (ze znużeniem). W celu rozpatrzenia pana sprawy musi pan przedstawić zabitego lisa. Albo odpowiednie zaświadczenie.

IWAN ANTONOW. Ale czemu lisa? Tu chodzi o owcę.

URZĘDNIK. Wszystko jedno, o co chodzi.

IWAN ANTONOW. Ale dlaczego?

URZĘDNIK. Umie pan czytać?

IWAN ANTONOW. Jako tako.

URZĘDNIK. W takim razie proszę przeczytać zarządzenie, ma je pan przed nosem.

IWAN ANTONOW (czyta). Ale... skąd ja mam wziąć lisa?

URZĘDNIK. Zabije pan.

IWAN ANTONOW. Ale czemu mam zabijać? Przychodzę tu w związku z pewnym nieporozumieniem. Do tego spowodowanym przez was. To wy mnie wzywacie, ja się do was nie pcham. Czemu mam zabijać lisa?

URZĘDNIK. Nic na to nie poradzę, musi pan. Akcja.

IWAN ANTONOW. Jaka akcja?

URZĘDNIK. Ogólnokrajowa. Sytuacja na tym odcinku jest bardzo zła. W ostatnim czasie lisy niesłychanie się rozmnożyły i powodują wielkie szkody. W lasach, że tak powiem, aż się roi od lisów. Myśliwi robią, co mogą, ale jest ich za mało, nie dają rady. A w ten sposób pomagamy w wytępieniu tych szkodników.

IWAN ANTONOW. Ale ja nigdy nie polowałem. Całkiem się nie znam na myślistwie. I czym go mam zabić? Gołymi rękami? A może żądacie, żebym sobie kupił strzelbę i ruszył w knieje tępić lisy? Jestem z zawodu językoznawcą.

URZĘDNIK (*patetycznie*). Jutro lisy wtargną do miasta, zatrzymają ruch kołowy, dostaną się i do pańskiego domu. Rzucą się na pana nieletnie dzieci...

IWAN ANTONOW. Ja nie mam dzieci.

URZĘDNIK. No cóż, wtedy już będzie za późno. Gdyby każdy wywiązywał się ze swojego obywatelskiego obowiązku, nigdy by do tego nie doszło. Ale istnieją tacy ludzie jak pan, którzy tego nie rozumieją. Tłumaczą się, że niby nie są zdolni do zabijania,

nie znoszą widoku krwi, że są architektami... Gdyby każdy zabił przypadające na niego lisy, problem zostałby rozwiązany w ciągu dwudziestu dni. Ale nie, każdy ogląda się na państwo. A jak państwo ma sobie z tym poradzić? Przecież państwo to my. W tej chwili świadomi obywatele zabijają lisy, huczą strzelby, biją dzwony, naokoło pachnie prochem... a pan mi tłumaczy, że jest pan z zawodu językoznawcą. Aż wstyd. Bez zabitego lisa pańska sprawa nie zostanie rozpatrzona. Skoro i tak nie ma co liczyć na pańską świadomość obywatelską... Niech pan jedzie zabić lisa i potem proszę znowu do nas przyjść. Czekamy na pana.

IWAN ANTONOW. Ale kiedy widzi pan... ja...

URZĘDNIK. Powodzenia! I niech pan będzie bezlitosny!

*Iwan wraca do swoich przyjaciół czekających w holu.*

ŻORO. No nareszcie, kronika i tak już nam przepadła. Załatwiłeś?

IWAN ANTONOW. Chcą lisa.

EWGENI. Czekaj no, przecież chodziło o owcę. Skąd tu naraz lis?

IWAN ANTONOW. Żeby uzyskać jakąkolwiek informację, muszę przedstawić zabitego lisa. Albo odpowiednie zaświadczenie. Nawet nie chciał popatrzeć na to moje wezwanie.

ŻORO. Coś podobnego.

IWAN ANTONOW. Rzucam wykłady na uniwersytecie i jadę polować na lisy. Nie wiecie, sprzedają tu gdzieś w pobliżu strzelby?

EWGENI. Czy oni wszyscy powariowali?

IWAN ANTONOW. W lasach aż się roi od lisów. Chodzi o to, żeby pomóc w ich wytępieniu.

ŻORO. Boże, Boże! Ty to słyszysz i nie grzmisz? Ty, który jesteś tam na górze, który widzisz i słyszysz wszystko...

*Nagle z góry rozlega się głos. Wydostaje się on z windy. Okazuje się, że w środku jest człowiek. Dotychczas nie widzieliśmy go. Trzyma w ręku książkę i najwyraźniej został oderwany od swego zajęcia.*

WISZĄCY. Słyszę, słyszę. I co?

*Wszyscy trzej w osłupieniu patrzą na wiszącą w powietrzu windę.*

WISZĄCY. I co? Ja tu sobie czytam, ale coś niecoś usłyszałem. Chodzi wam o lisy? To żaden problem. Idźcie do pokoju numer dziewięć, do Czilingirowa, mówicie: "Pozdrowienia od Wiszącego", dajecie mu dychę, ale w kopercie, a on wam daje zaświadczenie. Tylko uważajcie, żeby wam nie chciał wepchnąć świadectwa niekaralności sądowej, bo ono jest dużo droższe. Jeszcze coś?

EWGENI. Przepraszam, a pan... pan tutaj pracuje?

WISZĄCY. Skąd! Utknąłem w windzie dwa miesiące temu. I od tej pory wiszę. Konserwator dźwigów odszedł, nikogo na jego miejsce nie mogą znaleźć, teraz jest trudno o fachowców, a i uszkodzenie wygląda na skomplikowane – przyszło tu paru specjalistów z zewnątrz, podłubali i dali spokój. Mówili, że im się nie opłaca. I tak z dnia na dzień sprawa się przeciąga i do tej pory pozostaje, że tak powiem, w zawieszeniu.

IWAN ANTONOW. I pan przez cały czas tak wisi?

WISZĄCY. A co mam robić? Wziąłem urlop bezpłatny i wiszę. Uczę się angielskiego, zaprenumerowałem gazetę "Wieś Spółdzielcza", dostaję też czasopismo "Kosmos"... Akademia Medyczna robi ze mną doświadczenia, dostaję za to parę groszy. Jakoś się żyje.

IWAN ANTONOW. I tak spokojnie pan o tym mówi?

WISZĄCY. Wisiał pan kiedyś w windzie?

IWAN ANTONOW. Nie, tylko jeździłem.

WISZĄCY. Jeśli pan kiedy powisi, to mnie pan zrozumie. Przez pierwsze parę dni krzychałem, potem już błagałem, szepłem, a jeszcze później płakałem, bezgłośnie, bo straciłem głos... A potem pogodziłem się z losem. Co mi innego pozostaje? Wszystkiego próbowałem, przez wszystkich krewnych, przez znajomych, moja instytucja z początku też się mną interesowała, ale potem pochłonęła ją realizacja bieżących zadań, w końcu nie zajmuje się ona remontami wind, i powoli o mnie zapomnieli.

ŻORO. I nie ma żadnej nadziei?

WISZĄCY. Nadzieja zawsze jest. Starszy syn rzucił gimnazjum, zapisaliśmy go na kursy techników konserwacji dźwigów. Zostało mu jeszcze kilka miesięcy i wtedy mnie uwolni.

EWGENI. Przepraszam pana, a czy ten Czilingirow rzeczywiście da nam zaświadczenie o zabiciu lisa? Trochę nam się spieszy...

WISZĄCY (*tonem pełnym godności*). Wiszę tu od dwóch miesięcy. Mam przed oczyma całą instytucję, wiem, jak to wszystko funkcjonuje. Chyba sobie nie wyobrażacie, że ktokolwiek poleci zabijać lisy? Odkąd tu jestem, nie widziałem ani jednego lisa, wszystko załatwia się zaświadczeniami. Skoro dokument mówi, że lis został zabity, to wszystko w porządku.

IWAN ANTONOW. Ale od tego lisów nie robi się mniej.

WISZĄCY. A kogo tu interesują lisy? Chodzi o to, żeby móc napisać odpowiednie sprawozdanie. Potem najlepsi otrzymują nagrody i zabieramy się do następnej akcji. Kto będzie liczył wszystkie lisy w kraju? Robi pan wrażenie inteligentnego człowieka...

EWGENI. Czyste złudzenie. Czasami i my się dajemy na to nabrać, chociaż znamy się od dziecka. No, chodźmy po to zaświadczenie, bo jeszcze i film nam przepadnie.

IWAN ANTONOW. Bardzo panu dziękujemy.

WISZĄCY. Nie ma za co. Zawsze by się ktoś znalazł, kto by wam otworzył oczy.

*Wszyscy trzej wychodzą. Wiszący zostaje sam, dalej czyta podręcznik angielskiego.*

WISZĄCY. I am a boy. You are a girl, Ann. What is my name? My name is Peter...

*Wchodzi Żona Wiszącego z wypchaną torbą w ręce.*

ŻONA. Kirił!... Kirczo!...

WISZĄCY. My name is Peter!... (*Spogląda na dół.*) Aaa, to ty? Co nowego? (*Spuszcza sznurek z przywiązany koszykiem.*) Przyniosłaś pomidory?

ŻONA. Nigdzie nie ma. Szukałam cały ranek... (*Zaczyna przekładać rzeczy z torby do koszyka.*) W tym reprezentacyjnym sklepie też nie ma.

WISZĄCY. Już mam tego dość! Przecież mnie są potrzebne witaminy... do czego to podobne... nie ma i nie ma... Papryki nie ma, pomidorów nie ma. A co jest?

ŻONA (*głosem pełnym winy*). Przyniosłam ci szproty... fosfor...

*Układa rzeczy w koszyku.*

WISZĄCY. Fosfor! Przez cały tydzień tylko fosfor i fosfor. Czuję, że sam niedługo zacznę fosforyzować!

ŻONA (*nieśmiało*). Jest dobry na mózg... uczysz się przecież angielskiego...

WISZĄCY (*mruczy*). Na mózg! Baterii też nie ma?

ŻONA. Przyniosłam ci książkę.

WISZĄCY (*podjejrliwie*). Jaką?

ŻONA (*bojaźliwie*). "Opowieść o prawdziwym człowieku".

WISZĄCY (*wybucha*). Do diabła z tą "Opowieścią o prawdziwym człowieku"!...

Nerwy mam w porządku, zrozumie to wreszcie! W najlepszym porządku! Piąty raz mi ją przynosisz!... A jak nie ją, to Jacka Londona albo znowu o rozbitkach, co przez sześćdziesiąt cztery dni pływali na tratwie i odżywiali się planktonem, ale mimo to nie załamali się! Tak jakbym ja był rozbitkiem na tratwie! I dryfował po oceanie! Jestem w naszej, socjalistycznej instytucji! Nie zjedzą mnie tu rekiny, nie grożą mi tajfuny, odżywiam się regularnie. (*Milknie, zdenerwowany.*) Na tratwie!...

ŻONA (*nieśmiało*). Masz pozdrowienia od Georgijewa, mówi, żebyś nie tracił nadziei. Jego szwagier zna podobno jakiegoś technika, który genialnie naprawia windy.

*Wiszący wychyla się z nadzieją.*

Ale on teraz zakłada anteny do odbioru drugiego programu, to mu się lepiej opłaca.

*Wiszący wraca do swojej poprzedniej pozycji.*

Spytał podobno o markę i powiedział, że to bardzo skomplikowany typ, a poza tym tych wind już się od trzydziestu lat nie produkuje...

WISZĄCY. Nie produkuje się. O tym to ja sam dobrze wiem... a on zamiast opowiadać mógłby mnie stąd wyciągnąć.

*Pauza.*

A jak tam Cwetan?

ŻONA (*ze skrepowaniem*). Nno... uczy się.

WISZĄCY (*podjejrliwie*). Uczy się?

ŻONA. Uczy. (*Z jej intonacji widać jednak, że coś ukrywa.*)

WISZĄCY. Mów prawdę! Uczy się?! Czemu nic nie mówisz?

ŻONA. Chce się żenić.

WISZĄCY (*wstrząśnięty*). Jak to, żenić?

ŻONA. No, tak... jak się ludzie żenią... normalnie.

WISZĄCY. Jak to, normalnie, kiedy jego ojciec wisi w windzie? Żenić się? On się będzie żenił, a ja co, mam tu wisić całe życie? I jeść fosfor?

ŻONA. Powiedział, że te kursy skończy, nie będzie przerywał.

WISZĄCY. Już ja wiem, jak skończy. Żadnej żeniaczki, dopóki mnie stąd nie uwolni. Gdzie będę chodzić na spacer z wnukami – tutaj, w tym pudełku?

*Pauza.*

Przyślij mi go tutaj, sam z nim porozmawiam!

*Żona odchodzi bez słowa, pokornie.*

WISZĄCY (*za nią*). A tę "Opowieść o prawdziwym człowieku" to masz przy sobie?

*Żona w milczeniu zawraca i staje pod windą.*

WISZĄCY (*cicho*). Daj.

*Spuszcza koszyk.*

*Żona w milczeniu kładzie książkę, patrzy, jak mąż ją wciąga, nagle wybucha szlochom i zasłaniając oczy, szybko wychodzi. Wiszący z westchnieniem otwiera książkę na pierwszej stronie. Czyta.*

*Wchodzą Iwan Antonow, Ewgeni, Żoro.*

ŻORO. Proszę pana!... Proszę pana... tam, na górze!...

WISZĄCY (*patrzy*). A, to wy? I co, wszystko w porządku?

EWGENI. Dostaliśmy to zaświadczenie, ale tymczasem sekcja gdzieś zniknęła.

WISZĄCY. Jaka sekcja?

IWAN ANTONOW. Ptaków wodnych. Piętnaście minut temu jeszcze tam była, a teraz w tym pokoju pracują zupełnie inni ludzie. I nic nie wiedzą.

WISZĄCY. Nie ma w tym nic dziwnego – najnormalniejsza w świecie reorganizacja. Pewnie przekształcili tę sekcję w inną. Chwileczkę, niech się zastanowię – ptaki wodne, ptaki wodne... Oczywiście przedtem to była sekcja psów i ptaków, potem została przekształcona w sekcję ptaków wodnych, a psy przeniesiono do ptaków śpiewających. Potem tamtą sekcję połączyli z królikami. Tak. Psy pozostały, co do tego nie mam wątpliwości. Ale zginęły nam ptaki wodne. Co też z nimi mogli zrobić?... Najprawdopodobniej stworzono dwie nowe sekcje: ptaków i stworzeń wodnych.

IWAN ANTONOW. I myśli pan, że w jednej z tych dwóch sekcji będziemy mogli załatwić sprawę tej owcy?

WISZĄCY. Tutaj styl pracy jest tak dynamiczny, że trudno cokolwiek myśleć. Możliwe, że stworzono dwie nowe sekcje, a możliwe, że połączono trzy stare. Niczego nie można być całkiem pewnym – trzeba szukać.

Kurtyna

*Trzej przyjaciele pojawiają się jednocześnie, lecz w różnych miejscach – na podestach, wysoko nad sceną, z boku, z tyłu... Słyszymy ich głosy zza kulisy, to bliższe, to dalsze.*

IWAN ANTONOW. Tu jej nie ma!

EWGENI (*woła z przeciwległej strony*). Psy połączyli z kotami!

IWAN ANTONOW (*woła, ale już z innego miejsca*). Przecież byliśmy w sekcji kotów, psów tam nie było!

EWGENI. Nie było, ale teraz są...

ŻORO (*woła z trzeciej strony*). Ale co tu mają do rzeczy psy, przecież szukamy ptaków wodnych!...

IWAN ANTONOW. O Boże, dlaczego ptaków wodnych, kiedy tu chodzi o owcę!... Ja chyba zwariuję!

*Wszyscy trzej biegną jeszcze przez jakiś czas po podestach.*

ŻORO (*krzyczy*). Znalazłem! Jest! Jest!

EWGENI (*woła nie wiadomo skąd*). Co znalazłeś? Trzymaj, bo uciekniesz!

IWAN ANTONOW. Zwariowałeś?

EWGENI. Połączyli je!

*Wszyscy trzej, zdyszani, stają przed drzwiami.*

ŻORO. Tak, to tu. Połączyli je. Wchodzimy?

IWAN ANTONOW. Wchodzimy.

*Zdecydowanie otwierają drzwi i wchodzi.*

*Ogromne kasy pancerne z błyszczącymi okuciami, szafy, rozetki, biurko. Cisza. Urzędnik pisze coś w papierach. Kilka kroków przed nim stoi Chłop, pokornie i bez słowa czeka, trzymając coś pod pachą. Trzej przyjaciele patrzą na siebie i milcząc stają za Chłopem. Patrzą na Urzędnika. Ten pisze.*

*Urzędnika gra w tej sztuce jeden i ten sam aktor. Pojawia się w wielu miejscach, w różnych rolach, kostiumach, ma różny temperament, ale jego twarz pozostaje jedna i ta sama – jest to stale ta sama twarz biurokracji, niezależnie od tego, gdzie jej właściciel pracuje, jak się ubiera, jakie ma wykształcenie. Ludzi jest wielu, ale istota rzeczy, twarz biurokracji jest jedna – obojętność w stosunku do człowieka, do jego losu. I wszędzie tam gdzie jest napisane "Urzędnik", chodzi właśnie o tego aktora. Iwan Antonow od tej chwili będzie się stykał zawsze z nim, z jedną i tą samą twarzą biurokracji.*

CHŁOP II. No to jak teraz będzie, panoczku? Skórę zem przyniósł... Rozwija przedmiot, który trzymał pod pachą.

URZĘDNIK (*nie podnosi głowy*). Skórę widziałem.

CHŁOP II. I też mówię panu przecie, jak było: Stoimy se przy przejeździe, ta (*pokazuje na skórę*) pasie się... I jak raz wtedy opuścili ślaban.

URZĘDNIK. O szlabanie też słyszałem.

CHŁOP II. No i tego... Pod ślaban podjechał motor z przyczepą, potem wóz i na końcu taksówka. Moskwiacz. I czekają, aż pociąg przejedzie. I raptem ten motor się kapkę cofnął i stuknął konia. No to woźnica się zagniewał, zlął z wozu i stuknął tego na motorze. To ten się też zagniewał, zlął z motoru i stuknął konia. Woźnicy nie stuknął, bo to kawał chłopca. To wtedy koń się zagniewał...

ŻORO. I stuknął tego na motorze?

CHŁOP II. Ale!... Koń się tylko kapkę cofnął i stuknął moskwicza. No to wtedy szofer się też zagniewał, a przedtem to ino się śmiał, wylazł z taksówki i stuknął woźnicę. A ja się ino patrzę i śmieję, co za ludzie, myślę se, tak się bić o bele co. No, prawdziwe kino, mówię...

URZĘDNIK. Krócej, proszę.

CHŁOP II. No i tego... No i wreszcie przejechał pociąg, ślaban się podniósł i te chłopy, co się biły, zaczynają się raptem śmiać. A z czegoż wy się tak śmiejeta, pytam, co w tym takiego śmiesznego, a oni pokazują na ten ślaban, co się podniósł, i śmieją się jak głupi. Patrzę ci ja na ślaban – a na ślabanie wisi powieszona owca. Moja owca. Kiedym patrzył, jak się te chłopy biły, tożem ją przywiązał do ślabana, żeby nie uciekła. I powiesiła się. Tamci powiadali, kto na co miał, i pojechali, a ja czekam, żeby ślaban opuścili, żeby tę owcę zdjąć. Wreszcie żem ją zdjął, odarłem skórę, to jest właśnie ta skóra, no i przyszedłem tutaj, myślę sobie, chociaż podatku nie będę za nią płacił, przyjdę i opowiem tym ludziom w biurze, co i jak...

URZĘDNIK. Dokument mi jest potrzebny, dokument, ile razy mam powtarzać? Dokument o śmierci owcy. Na skórze nie jest napisane, z jakiej owcy pochodzi.

CHŁOP II. Ale zaraz, panoczku, jaki dokument, przecie żem przyniósł skórę, gdyby ta owca była żywa, to jakże by chodziła odarta ze skóry?

URZĘDNIK. Posłuchajcie no, człowieku. Od samego rana zawracacie nam głowę. A sprawa jest jasna jak słońce. Potrzebny jest dokument.

CHŁOP II. Ale przecie, panoczku...

URZĘDNIK. I tak za dużo czasu się zajmuję tą waszą sprawą. A inni też czekają. Zabierajcie się z tą swoją skórą i przynieście mi dokument.

CHŁOP II. Skąd ja wytrzasnę ten dokument, teraz przecie dokumentów nigdzie nie ma...

URZĘDNIK (*do Iwana Antonowa*). Pan w jakiej sprawie?

*Chłop odchodzi od biurka i staje z boku w oczekiwaniu na bardziej sprzyjający moment.*

IWAN ANTONOW. W związku z tym wezwaniem, prawdopodobnie zaszła jakaś pomyłka...

URZĘDNIK. Jakie wezwanie? Co za pomyłka?



IWAN ANTONOW. Proszę bardzo. To jest właśnie to wezwanie.

*Podaje.*

URZĘDNIK (*nie bierze wezwania*). A lis?

IWAN ANTONOW. Proszę.

*Podaje zaświadczenie.*

URZĘDNIK (*czyta jedno i drugie*). Nie widzę pomyłki.

IWAN ANTONOW. Ja nie mam owcy. Na tym polega pomyłka.

URZĘDNIK. A co pan ma?

IWAN ANTONOW. Nic. Nigdy nie miałem owcy. To jest jakieś nieporozumienie.

*Urzędnik bez pośpiechu wstaje, podchodzi do szafki, wyciąga stamtąd pęk kluczy, otwiera jedną z wielkich zielonych kas pancernych, wyciąga z niej oprawione księgi rejestracyjne i kładzie na biurku. Patrzy na Iwana Antonowa z pobłażaniem – nie może być żadnej pomyłki, tu pomyłek nie ma. przewraca stronice...*

URZĘDNIK. Iwan Kiryłow Antonow, ulica Cara Borysa 73? Językoznawca?

IWAN ANTONOW. Tak.

URZĘDNIK. Miesiąc temu strzygł pan swoją prywatną owcę. Radzę panu nie wprowadzać w błąd organów państwowych.

IWAN ANTONOW. Widzi pan, ja nie mam owcy, strzygłem marynarkę, zamszową marynarkę. Ona miała takie sterczące włoski, wszyscy się ze mnie śmieli i musiałem ją ostrzyć. Pojechałem na wieś, żeby to załatwić. I to wszystko.

URZĘDNIK (*uśmiecha się*). Niech pan nie ukrywa swojej owcy, przed ramieniem sprawiedliwości, i tak nie zdoła jej pan ukryć.

IWAN ANTONOW. Kiedy ja naprawdę nie mam nic do ukrywania. To była tylko marynarka, ta sama, którą mam na sobie, po prostu zbieg okoliczności, że ją dzisiaj włożyłem.

URZĘDNIK. Posłuchajcie, obywatelu Antonow. My tutaj nie pracujemy na wiarę. Zgodnie z dokumentami posiada pan owcę i musi pan zapłacić za nią podatek. Gdyby każdy ukrywał posiadany przez siebie inwentarz, to do czego byśmy doszli? I niech mi pan nie zabiera więcej czasu. Jeśli w ciągu trzech dni nie uiszi pan podatku, to będziemy zmuszeni do zastosowania przepisów prawnych w całej ich rozciągłości.

*Składa księgi, chowa do zielonej kasy pancерnej, zamyka ją na klucz, chowa klucze do szuflady szafki. Znowu siada.*

IWAN ANTONOW. Proszę pana, porozmawiajmy jak inteligentni ludzie.

URZĘDNIK. Inteligentni ludzie też płacą podatki.

IWAN ANTONOW. Ale widzi pan, dokumenty to jeszcze nie fakty. Proszę mi udowodnić, że mam owcę.

URZĘDNIK. To pan powinien udowodnić, że jej pan nie ma.

IWAN ANTONOW. Ja? Ja powinienem udowodnić, że nie mam?!

URZĘDNIK. Gdybyśmy musieli każdemu udowadniać posiadanie inwentarza, to wie pan, do czego by doszło? Mamy u siebie zarejestrowanych dwieście pięćdziesiąt tysięcy osób.

IWAN ANTONOW. Ale tylko jedna z nich chce, żebyście jej udowodnili, nie wszystkie.

URZĘDNIK. W tej chwili. Dzisiaj. A jutro?

IWAN ANTONOW. Co jutro?

URZĘDNIK. A pojutrze? A w przyszłości? Ilu innych może tego zażądać? Nie możemy dopuścić do powstania precedensu.

IWAN ANTONOW. Ale to nie była owca, niech mnie pan zrozumie. To była marynarka! Słyszysz pan – marynarka!!!

URZĘDNIK. Każda marynarka była kiedyś owcą. Jeśli pan przez ten czas przekształcił swoją owcę w marynarkę, to już pana sprawa, my osobistymi sprawami obywateli nie zajmujemy się. Ale i w takim wypadku jest pan zobowiązany do zapłacenia podatku wraz z karą – za okres, kiedy marynarka była owcą.

IWAN ANTONOW. To w takim razie jestem zobowiązany do płacenia podatków także za swoje palto. Ono też kiedyś było owcą.

URZĘDNIK. Ale nie prywatną. Nie należącą do pana. Chwyta pan różnicę, prawda?

IWAN ANTONOW. Boże drogi!... Ale ja jestem językoznawcą, nie zajmuję się hodowlą owiec!

URZĘDNIK. W miejscowości Geneva, stan Nowy Jork, miejscowy fotograf uprawiał marihuanę w miejskim parku. Podlewanym na dodatek przez władze miasta. I zbił dzięki temu ogromną fortunę. Ten fotograf oczywiście nie płacił podatku od uprawy marihuany.

ŻORO. On naprawdę nie ma owcy. I nigdy nie miał. Znamy go od takiego (*pokazuje*) i nie widzieliśmy nic, co by było chociaż trochę podobne do owcy – ani u niego, ani u jego rodziny. To jest po prostu śmieszne.

EWGENI. Po co mu zresztą owca – przecież on wykłada na uniwersytecie.

ŻORO. I nie ma nawet balkonu – gdzie by ją miał hodować? Może w doniczce?

EWGENI. To musi być jakieś nieporozumienie.

*Przy tych słowach Urzędnik wstaje, idzie do szafki, wyciąga klucze, znowu otwiera zieloną kasę pancerną z błyszczącym okuciem, i ponownie wyciąga rejestry.*

URZĘDNIK. Iwan Kirilow Antonow, językoznawca, strzyżona prywatna

owca dwudziestego dziewiątego marca. Nie marynarka, tylko owca. Proszę bardzo – napisane czarno na białym. W rubryce "Uwagi" jest dodane: "Trzyma ją w wannie." I niżej: "Cel hodowli – hobby."

EWGENI. Czy pan sobie zdaje sprawę z tego, co pan czyta? W wannie? A może w akwarium? Nic takiego nie jest tam napisane.

URZĘDNIK. Czy to tutaj to pana podpis? A numer dowodu się zgadza? Wydany 2 listopada 1966 roku?

ŻORO. Opowiada nam pan jakieś bajki. "Hobby"! "Trzyma ją w wannie"!... A może to chodzi nie o owcę, tylko o złotą rybkę? Albo o meduzę?

URZĘDNIK. Pracuję tu od dziesięciu lat i przez ten czas nikomu nie udało się ukryć swojego zwierzęcia przed okiem prawa. Nie uda się to i panu. Lepiej niech pan od razu zapłaci podatek.

IWAN ANTONOW. Mniejsza o podatek, mnie chodzi o zasadę. W końcu wierzy pan dokumentom czy ludziom?

URZĘDNIK. Dokumentom. Pracujemy w oparciu o dokumenty. A ludzie są różni.

IWAN ANTONOW. Dokumenty też są różne. A pan nie wierzy ludziom, tylko papierowi. Przy tym nie najlepszej jakości.

URZĘDNIK. Ja tu nie jestem po to, żeby filozofować, tylko po to, żeby ściągać podatki. Proszę zapłacić podatek, a te złote myśli może pan gdzieś opublikować. Nie będę miał nic przeciwko temu.

ŻORO. Ale z jakiej racji podatek, skoro on nie ma owcy?

URZĘDNIK. To pan mówi, że nie ma.

IWAN ANTONOW. Dobrze, może pan sprawdzić. proszę przyjść do mnie, poszukać. Nic pan nie znajdzie.

URZĘDNIK. Oczywiście, że nic nie znajde. Skoro sam mnie pan zaprasza, to jasne, że ją pan gdzieś ukrył. Pasie się teraz pewnie na jakiejś działce pod Sofią i szukaj wiatru w polu...

ŻORO. Ale my z kolegą codziennie u niego jesteśmy, coś byśmy przecież zauważyli, usłyszelibyśmy ją... Czy to tak łatwo ukryć owcę?

URZĘDNIK. Oczywiście, że łatwo. Sami to panowie robicie.

ŻORO. A pan? Co pan robi? Siedzi pan tutaj i nic nie rozumie.

URZĘDNIK. Ja ściągam podatki. A jeśli ktoś nie chce zapłacić, jak w waszym przypadku, to nakładam grzywnę. To całkiem proste. Wydaje mi się, że to wy, panowie, nic nie rozumiecie.

IWAN ANTONOW. Ale to wszystko dotyczy tych, którzy hodują zwierzęta. A ja nic nie hoduję, rozumie pan? Zajmuję się językoznawstwem, nie hodowlą.

Zajmuję się gramatyką, strukturą zdania złożonego. Podmiotem, rozumie pan?

"Chłop orze". Kto orze – chłop. Chłop to podmiot. Podmiot wskazuje, kto wykonuje działanie opisane w zdaniu. A owcy nie ma, rozumie pan? Nie ma!

URZĘDNIK. Chłop niech sobie orze, a pan niech zapłaci podatek.

ŻORO. Ja już dłużej nie wytrzymam! Przecież z tym człowiekiem w ogóle nie można się porozumieć. Jak mu pokażę...

*Rzuca się w stronę Urzędnika.*

EWGENI. Czeka! Stój! (*Łapie go.*) Stój, mówię ci!

ŻORO (*szarpie się*). Ja mu pokażę podatek... ja mu pokażę...

URZĘDNIK. Za lekkie uszkodzenie ciała urzędnika podczas wykonywania przez niego obowiązków służbowych wlepią panu co najmniej trzy lata.

ŻORO (*szarpie się*). Lekkie, akurat... chciałbyś, draniu... to będzie ciężkie, najcięższe z możliwych...

EWGENI (*ledwie go trzyma*). Przestań, słyszysz! Uspokój się!

URZĘDNIK. I trzy lata za składnie fałszywych zeznań – razem sześć.

ŻORO. Jakie znów fałszywe zeznania! Kto je składał?

URZĘDNIK. Pan, przed chwilą. Razem z kolegą.

EWGENI. Bo go puszczę!...

URZĘDNIK. Co wy sobie w końcu wyobrażacie – wszyscy mają płacić podatki, tylko wy nie, tak?

*Następuje pauza, wykorzystana przez Chłopa z owczą skórą.*

CHŁOP II. No i pod ten ślaban podjechał motor z przyczepą, potem wóz...

*Ale Chłopa odsuwa Iwan Antonow. Staje przed Urzędnikiem.*

IWAN ANTONOW. Żądam, żeby pan ją pomacał.

*Zdejmuje marynarkę.*

URZĘDNIK. Nie chcę.

IWAN ANTONOW. Ależ niech pan pomaca.

URZĘDNIK. Nie siedzę tu po to, żeby macać.

IWAN ANTONOW. Proszę pomacać. Podobna jest do owcy? A może gdzieś jest napisane, że to owca? Proszę sprawdzić! Proszę, proszę bardzo... Niech pan sprawdzi w wewnętrznej kieszeni, owce tam najbardziej lubią przesiadywać. To ich ulubione miejsce. Bardzo proszę, niech pan sprawdzi!

ŻORO (*wciąż jeszcze przytrzymywany siłą*). Co go będziesz prosić! Puśćcie mnie, już ja go poproszę! Będzie nas tu drań obrażał! Groził paragrafami!

URZĘDNIK. Proszę stąd wyjść! Proszę stąd natychmiast wyjść!

ŻORO. Nie wyjdziemy!

URZĘDNIK. Powtarzam – proszę natychmiast wyjść!

IWAN ANTONOW. A to niby z jakiej racji? Czyta pan gazety, prawda? I czy pan nie wyczytał w dziesiątkach artykułów, przemówień, dokumentów, że ja, człowiek, znajduję się w centrum uwagi, w centrum wszystkiego, że człowiek jest najważniejszy? Nie wyczytał pan?

URZĘDNIK. W gazetach nie piszą, że chodzi właśnie o pana.

IWAN ANTONOW. To co, że nie piszą? A może piszą? A może to wszystko jest właśnie o mnie? A wie pan, jakie znaczenie ma to, co piszą w gazetach?  
URZĘDNIK. Absolutnie żadne. Gazety robią, co do nich należy, a ja – co do mnie.

EWGENI. Kiedy właśnie pan nie robi tego, co do pana należy. Wyprowadza pan tylko ludzi z równowagi.

IWAN ANTONOW. Pan nie wywodzi się od małpy, jak wszyscy, tylko od dokumentu! Od zaświadczenia! I pana dzieci to też nie dzieci, tylko małe dokumenciki! Trzeba uważać, żeby ich nie uszkodzić.

ŻORO (*szarpię się*). I jego też można uszkodzić! Nawet trzeba! Zaraz to zobaczycie...

EWGENI. Żoro, spokojnie, on się od niczego nie wywodzi, absolutnie od niczego, i nigdy się nie wywiedzie...

URZĘDNIK. Zawołam milicję!

IWAN ANTONOW. To my zawołamy milicję!

URZĘDNIK. Milicja!

*Trzej przyjaciele wychodzą.*

### Kurtyna

*Wszyscy trzej idą korzytarzem, wzburzeni, zdenerwowani.*

ŻORO. Chodźcie do jego szefa, niech mu powie, jak należy postępować z ludźmi!

*Nagle z przeciwnej strony pojawia się Człowiek w garniturze i krawacie. Patrzy badawczo na Iwana Antonowa. Żoro i Ewgeni idą dalej.*

CZŁOWIEK W GARNITURZE. Z panem tośmy chyba jeszcze dzisiaj nie rozmawiali?

IWAN ANTONOW (*zaskoczony*). Nie przypominam sobie...

CZŁOWIEK W GARNITURZE. Maszynkę pan masz?

IWAN ANTONOW. Słucham?!

CZŁOWIEK W GARNITURZE. Maszynkę elektryczną, pytam, masz pan czy nie?

IWAN ANTONOW. Nie mam. Ale o co chodzi?

CZŁOWIEK W GARNITURZE. Wszyscy tak mówią. Jeszcze zobaczymy.

*Idzie dalej.*

EWGENI (*który zawrócił*). Jakiś znajomy?

IWAN ANTONOW. Skąd. Stuknięty czy co, pytał mnie, czy mam maszynkę elektryczną.

ŻORO. Nie przyznawaj się. Owca nam na razie wystarczy.

## Kurtyna

*Trzej przyjaciele po długim błędzeniu stają przed jakimiś drzwiami.*

IWAN ANTONOW. Wchodzimy i pytamy. Dłużej tak przecież nie można.

EWGENI. Ależ tych pięter narobili, czuję się, jakbym zdobywał Mount Everest: to w górę, to w dół, to w górę, to w dół – nóg nie czuję.

ŻORO. No, na co czekamy? Chodźcie!

*Pukają i wchodzą.*

*W środku gra trio skrzypcowe. Na ścianie kalendarz z 1955 roku. W kącie schną rachityczne kwiatki, pokryte kurzem. Z "kołchoźnika" płynie rozdzierająca serce melodia. Przy biurku posiwiały już mężczyzna spokojnie obiera jabłko.*

IWAN ANTONOW. Przepraszam, że pana niepokoiimy. Chodzi nam o informację...

ŻORO. Chcemy się dostać na siódme piętro.

EWGENI. Do naczelnika.

IWAN ANTONOW. Ale schody dochodzą tylko do trzeciego piętra i tam się kończą. Są zamurowane. Za ścianą słychać maszynę do pisania, śmiech, prawdopodobnie ktoś tam pracuje...

EWGENI. Szukaliśmy innych schodów, ale nie ma. Są tylko te.

ŻORO. I to zamurowane.

IWAN ANTONOW. Może nam pan powiedzieć, jak się dostać na siódme piętro? *Urzędnik powoli kręci głową. Nie może pojąć, że są ludzie, którzy chcą się dostać aż na siódme piętro. Całkiem jakby chcieli jechać na Księżyc.*

ŻORO. Co on powiedział?

EWGENI. Nic nie powiedział. Pokręcił głową.

IWAN ANTONOW. Może nie usłyszał. Przez to radio. *(Głośno.)* Czemu pan nie wyłączy radia?

URZĘDNIK *(powoli kręci głową)*. Nie da się.

IWAN ANTONOW. Jak to się nie da?

URZĘDNIK. To się wyłącza centralnie.

ŻORO. Jak to centralnie?

URZĘDNIK. Jak centralne ogrzewanie.

IWAN ANTONOW. I przez cały dzień tak gra?

URZĘDNIK. Gra od 1955 roku.

EWGENI. Bez przerwy?

URZĘDNIK. Bez przerwy.

IWAN ANTONOW. I nie przeszkadza panu?

URZĘDNIK. Do wszystkiego można się przyzwyczaić.

IWAN ANTONOW. Widzi pan, my chcielibyśmy się dostać na siódme piętro.

URZĘDNIK. Słyszałem.

IWAN ANTONOW. Schodami się nie da, są zamurwane, więc chyba jest jakiś inny sposób. Może nam pan powiedzieć, jak się tam dostać?

URZĘDNIK. Nie wiem.

IWAN ANTONOW. Jak to, pan nie wie? Przecież pan tutaj pracuje?

URZĘDNIK. Od sześćdziesiątego roku.

ŻORO. I jak pan tam chodzi?

URZĘDNIK. Nigdy nie chodziłem na siódme piętro.

IWAN ANTONOW. Jak to, nigdy pan nie miał ochoty tam iść... zobaczyć... nigdy pana nie wzywali... chociażby służbowo?

URZĘDNIK (*kręci głową*). Nie.

IWAN ANTONOW. Przez piętnaście lat?

URZĘDNIK. I siedem miesięcy.

IWAN ANTONOW. A ludzie przez ten czas polecieali na Księżyc... Polecą i na Marsa...

URZĘDNIK. Słyszałem. Wariaci.

IWAN ANTONOW (*patrzy na przyjaciół*). Przepraszam, że panu przeszkadziliśmy.

*Wszyscy trzej wychodzą, ale Iwan zawraca, wiedziony jakąś myślą, wchodzi na krzeselko, wyciąga rękę i przekręca wyłącznik "kołchoźnika". Zapada cisza. Iwan patrzy na Urzędnika.*

URZĘDNIK. Mój kolega, który przeszedł na emeryturę w sześćdziesiątym roku, powiedział, że tego się nie da wyłączyć. Że się wyłącza centralnie.

IWAN ANTONOW. Jak centralne ogrzewanie?

URZĘDNIK. Jak centralne ogrzewanie.

IWAN ANTONOW. I przez te piętnaście lat ani razu nie próbował pan sprawdzić, czy to jest prawda? Ani razu nie wszedł pan na krzeselko i nie wyciągnął ręki? Od piętnastu lat siedzi pan tutaj i śpi! Jak w środku pajęczyny!... Skrzypce! Muzyka! Jak pan tu siedzi, tak pan tu i zgnije! Chyba że nastąpi znów jaka reorganizacja i was stąd wymiecie! Wymiecie na śmietniki... (*Idzie do drzwi.*)

URZĘDNIK. Jeśli nawet, to co?

*Iwan wychodzi.*

*Urzędnik, nie przerywając obierania jabłka, wstaje i idzie ku publiczności, stale obierając jabłko.*

URZĘDNIK. Pracuję tu od piętnastu lat. Przez ten czas było nie wiem ile reorganizacji, stale zmieniali się szefowie, wprowadzano nowe style pracy i

nowe meble... a ja sobie spokojnie siedzę. I długo jeszcze będę siedział. A wiecie dlaczego? To bardzo proste, wiedzą o tym nawet dzieci: kiedy bawią się w wojnę, to zawsze jeden jest dowódcą, a pozostali – zwykłymi żołnierzami. Wszystkie nieszczęścia wynikają z tego, że nikt nie chce być zwykłym żołnierzem. A ja się na to zgodziłem. Zgodziłem się być zwykłym żołnierzem, a inni niech się biją, kto ma mną dowodzić. A podczas kiedy się biją, życie toczy się dalej. Ta zabawa trwa wiecznie i zawsze w niej wygrywam ja. Mówię wam to wszystko, bo i on (*wskazuje na drzwi, przez które wyszedł Iwan Antonow*) jest kometa. Odkąd tu pracuję, zawsze się pojawiali tacy jak on – meteory. Myśleli, że będą płonąć przez całe życie, bez przerwy usiłowali wszystko zmieniać, ale po roku czy dwóch gaśli i potem w korytarzach długo pachniało dymem... Każdy marzył o tym, żeby zmienić świat, każdy chciał być Kolumbem, Einsteinem, Galileuszem... I co? Ich już nie ma. A ja jestem. I długo zostanę. Wiecie, dlaczego zostanę? Dlatego że ja nie chcę niczego zmieniać. A ten (*znów wskazuje drzwi*) niech sobie płonie! Czuję już w powietrzu zapach dymu.

### Kurtyna

*Iwan stoi koło Wiszącego. Ten oplątany jest różnymi przyrządami, rysiki kreślą skomplikowane linie, specjalne urządzenia odnotowują pracę serca, mózgu i innych organów.*

IWAN ANTONOW. Co nowego? Wszystko w porządku? A co to znów takiego?

WISZĄCY. Aparatura. Zapisuje każde drgnięcie, każde uderzenie serca, każde westchnienie... Medycyna. Rejestruje wszystko.

IWAN ANTONOW. Rejestruje. Pewnie, że rejestruje. Pod tym względem zajmujemy jedno z pierwszych miejsc, rejestrujemy wszystko, co popadnie. Ale to nie uwolni pana z windy. A w ogóle to na co panu te badania?

WISZĄCY. Mnie tam one niepotrzebne, ale czego się nie robi dla ludzi! Ja jestem pierwszy, który tak długo wisi w windzie, całkiem jak Gagarin. Te badania pomogą wszystkim, którzy będą wisieć po mnie.

IWAN ANTONOW. Gdyby tę windę od razu naprawili, to żadne badania nie byłyby potrzebne. Czuję, że dzięki panu powstanie najmarniej pięć prac doktorskich, jeśli nie habilitacyjnych. A pan dalej będzie sobie wisiął.

WISZĄCY. Nie ma pan racji. Ja tutaj wiszę dla ludzkości.

IWAN ANTONOW. Ludzkość powinna była lepiej dbać o windę. A tak w ogóle to zastanawiam się, jak pan wytrzymuje? I mówi pan o tym wszystkim tak spokojnie, nawet jakby z dumą...

WISZĄCY. Człowiek jest zdolny do wszystkiego. Pisali w gazecie.

IWAN ANTONOW. Racja, zapomniałem, że i gazety pan dostaje.

*Wchodzi Żoro i Ewgeni.*

EWGENI. Gdzieżeś ty przepadł? Szukamy cię wszędzie...



ŻORO. Do tego siódmego piętra w ogóle nie da się dotrzeć, wszędzie szukaliśmy i na nic.

WISZĄCY. Dawniej jeździło się windą. Ale to było, jeszcze zanim ja tu nastąłem.

IWAN ANTONOW. A teraz?

WISZĄCY. Teraz, żeby się dostać na siódme piętro, musicie zejść na parter, wyjść z biura i wejść do sąsiedniego biurowca.

ŻORO. Po kiego diabła mamy wchodzić do sąsiedniego biurowca?

WISZĄCY. Z ich szóstego piętra jest przejście do naszego budynku. Przez dział planowania. Przebili tymczasowe przejście, dopóki nie naprawi się windy. Nie wiem, czy was wpuszczą, ale zawsze możecie spróbować. Wszystko zależy od portiera, musicie uważać – nie denerwujcie go, na wszystko się zgadzajcie, a jakby się pytał, to skończyliście tylko trzy klasy.

EWGENI. A może przygotować coś w kopercie?

WISZĄCY. Najważniejsze jest wykształcenie. W żadnym wypadku nie przyznawajcie się, że skończyliście więcej niż trzy klasy. Inaczej was nie wpuści.

*Trzej przyjaciele wychodzą.*

*Wiszący siedzi w windzie. Cisza, rysiki rejestrują. Wiszący powtarza słówka angielskie.*

*Zaraz po wyjściu przyjaciół wchodzi Człowiek w garniturze. Jest zakłopotany, zamyślony. W ręku trzyma dwie maszynki elektryczne.*

CZŁOWIEK W GARNITURZE. Nie mogę sobie przypomnieć, skąd znam tego faceta... Gdzie on pracuje? W "Ptakach wodnych"?... Nie, stamtąd wszystkich znam... Gdzie też on pracuje?... Ani rusz nie mogę sobie przypomnieć...

*W tym momencie wracają Iwan Antonow, Ewgeni, Żoro.*

CZŁOWIEK W GARNITURZE (*zatrzymuje najpierw Iwana Antonowa, który wchodzi pierwszy*). Zaliczyłeś pan szkolenie?

IWAN ANTONOW. Co?... Do mnie pan mówi?

CZŁOWIEK W GARNITURZE. Szkolenie pan zaliczyłeś?

IWAN ANTONOW. Nie zaliczyłem. Jakie szkolenie?

CZŁOWIEK W GARNITURZE (*zadowolony*). No to się jeszcze spotkamy. (*Do Żora, który wchodzi po Iwanie.*) Pan też nie zaliczyłeś... (*Do Ewgeniego, który wchodzi następny.*) I pana też jeszcze dopadnę!

*Wychodzi.*

ŻORO. To ten twój znajomy. Chyba zajmuje się naprawą maszynek.

EWGENI. Nie rozumiem, o co mu właściwie chodziło.

IWAN ANTONOW. Ależ ja go w ogóle nie znam. To chyba jakiś nienormalny.

ŻORO. A my znowu tacy normalni, co? Znakomita kondycja, pełny luz i radość o poranku. Czuję, że od tego łążenia sam zaczynam dostawać kręčka!

WISZĄCY (*odzywa się z windy*). I co, nie wpuścił was?

ŻORO. Jak miał wpuścić, kiedy Iwan mu powiedział, że wyklada na uniwersytecie... "Wykladam ten język na uniwersytecie", tak mu powiedział.

IWAN ANTONOW. A co, może to przestępstwo? Spytał mnie, czy rozumiem po bułgarsku, to miałem milczeć? Tylko dlatego że on ma skończone trzy klasy?

ŻORO. Rzeczywiście, a ja nie wykladam na uniwersytecie i dlatego mam się powiesić, tak? Kto nie wyklada na uniwersytecie, ten się nie liczy? Wszędzie tylko powtarzasz: wykladam, wykladam. Z takimi wykładowcami to i do jutra nic nie załatwimy. Gdybyś mu powiedział, że właśnie się uczysz alfabetu, to już byśmy mieli sprawę załatwioną.

WISZĄCY. Chwileczkę, wiem, że chcecie się dostać na siódme piętro, ale tak nikt nie robi. Przecież tu siedzę i widzę.

EWGENI. A jak?

WISZĄCY. Siódme piętro jest bardzo wysoko. Trzeba tam docierać stopniowo: pierwsze, drugie, trzecie... Inaczej się tutaj nie da.

ŻORO. No to chodźmy, bo czuję, że mnie krew zalewa.

## Kurtyna

*Dwa biurka. Kwiaty w puszkach po konserwach. Urzędnik i Urzędniczka. Urzędnik ukradkiem przegląda się w lusterku. Urzędniczka pochylona nad pracą. Nagle Urzędnik zrywa się jak oparzony, przewraca krzeselko i rzuca się do szafki. Gorączkowo wyciąga z kieszeni klucze, otwiera drzwiczki z trzaskiem, Urzędnik błyskawicznie się pochyla i... wlewa gotową kawę do dwóch filiżanek.*

URZĘDNIK. O mały włos nie wykipiała. Jakoś się zamyśliłem... Proszę! (*Podaje filiżankę Urzędniczce.*) Strasznie mocno grzeje ta maszynka, nie to, co tamta, trzeba pilnować, bo inaczej cała kawa na nic. (*Pije z rozkoszą.*) Pycha! Doskonała kawa. A ty za każdym razem umierasz ze strachu. Gdyby człowiek robił tylko to, co mu wolno, życie stałoby się podobne do pustyni. No, koleżanko, trochę luzu! A poza tym w szafie pancерnej mam też gaśnicę. Zachowuję wszelkie środki ostrożności. Ej, Newena, ty to chyba przestrzegasz wszystkich dziesięciorga przykazań, co? (*Śmieje się.*)

*Do pokoju wpada Żoro, Urzędnik błyskawicznie przykrywa filiżankę teczką z papierami. Filiżanka przed Urzędniczką stoi nietknięta.*

ŻORO. Dzień dobry!

URZĘDNIK. Dzień dobry... Pan w jakiej sprawie?

ŻORO. W sprawie Iwana Antonowa.

URZĘDNIK. Językozawcey?

ŻORO. Tak.

URZĘDNIK. Zajmuje się strukturą zdania złożonego?

ŻORO. Tak.

URZĘDNIK. Ale kupił sobie marynarkę? Ze sterczącymi włoskami? I trzeba ją było trochę przyszczyć?

ŻORO. Wszystko się zgadza.

URZĘDNIK. I teraz żądają od pana podatku? Do dzisiaj był pan całkiem normalnym obywatelem, a dzisiaj wszyscy są przekonani, że ukrywa pan owcę?

ŻORO. Właśnie.

URZĘDNIK. A pan nie ukrywa?

ŻORO. Tu nie ma nic do ukrywania, znam go od małego. On się w ogóle nigdy nie zajmował owcami. Ciągle tylko czytał książki.

URZĘDNIK (*machinalnie*). Tak, tak. Książka to okno na świat. Rozumiem... (*Raptownie.*) Kto czytał książki?

*W tym momencie wchodzi energicznie Ewgeni, a po nim Iwan Antonow.*

EWGENI. On w ogóle nie znosi owiec, czuje do nich organiczny wstręt, ma uczulenie.

IWAN ANTONOW. To jakaś pomyłka, nieporozumienie, rozumie pan? I nikt nie chce uwierzyć.

URZĘDNIK (*do Żora*). A panowie to kto?

EWGENI. Jego przyjaciele.

URZĘDNIK. Czyi? Czyi przyjaciele?

EWGENI. Jego. Iwana Antonowa. On się wychował na naszych oczach. Gdyby miał owcę, na pewno byśmy zauważyli.

URZĘDNIK (*po małej pauzie, już się zorientował*). Posłuchajcie no, obywatelu Antonow. To pan jest Iwan Antonow, tak?

IWAN ANTONOW. Tak.

URZĘDNIK. Tak. Proszę posłuchać, czy jest pan zorientowany, choćby powierzchownie, w problemach naszej hodowli?

IWAN ANTONOW. Nie. Moje życie toczyło się raczej z dala od tych problemów.

URZĘDNIK (*z troską*). Będę z panem szczery. Niestety, proszę pana, mamy poważne trudności. Musimy doprowadzić do zdecydowanego wzrostu pogłowia zwierząt... Przystosowanie nowych terenów, problem paszowy... trudności kadrowe spowodowane migracją. Nie ma komu paść.

IWAN ANTONOW. Rozumiem.

URZĘDNIK. Importujemy materiał zarodowy z innych krajów.

Eksperymentalnie wprowadzamy system trzykrotnego dojenia. Oczywiście, mamy się i czym pochwalić. Jeszcze nie tak dawno jedna owca dawała średnio 28 litrów mleka rocznie. Teraz otrzymujemy 67 litrów. Duża część hodowców ma średnie wykształcenie. Niektórzy studiują zaocznie. Ale... To nie likwiduje problemów. Mamy jeszcze bardzo dużo do zrobienia, proszę pana, bardzo,

bardzo dużo. Jest to decydująca chwila – albo będziemy mieć hodowlę, albo nie. Czy zdaje pan sobie sprawę z wagi tej chwili?

IWAN ANTONOW. Widzi pan, może my się nie rozumiemy, ja tu przyszedłem w sprawie marynarki. Rozumie pan? Marynarki, za którą upominają się, żebym zapłacił podatek.

URZĘDNIK (*rozczarowany*). Obywatelu Antonow! Jesteście przecież inteligentnym człowiekiem. Do czego to podobne! Nie wolno nam powtarzać błędów przeszłości, kiedy nie docenialiśmy wysokiej rangi gospodarki hodowlanej i wybiliśmy zwierzęta po to, żeby zrównać wieś z miastem.

IWAN ANTONOW. Może i jestem inteligentnym człowiekiem, ale tego nie rozumiem. Nie rozumiem, co mam mieć wspólnego z wysoką rangą gospodarki hodowlanej. Przyszedłem tutaj w całkiem innej sprawie.

URZĘDNIK. Sprawa jest taka, obywatelu Antonow, że na obecnym etapie ważna jest dla nas każda owca. Z każdą, każdziuteńką owcą wiążemy ogromne nadzieje. Nie mamy prawa lekką ręką jej skreślać. Także z waszą owcą, co tu ukrywać, wiążemy wielkie nadzieje, także ona jest włączona do wielkich ogólnonarodowych planów.

IWAN ANTONOW. Moja owca?

ŻORO. Jego owca?

EWGENI. Owca Iwana?

URZĘDNIK. Tak. Zostało już obliczone, ile da ona mleka, ile mięsa i ile wełny. Liczymy na nią.

IWAN ANTONOW. Zostało obliczone?!

URZĘDNIK. Dzieci czekają na jej mleko, obywatelu Antonow. Wasze dziecko, moje dziecko, ich dzieci... (*Wskazuje na przyjaciół Iwana.*) Czy macie sumienie im je odebrać?

IWAN ANTONOW. Co im odebrać?!

ŻORO. Zaraz, jakie znów dzieci?

URZĘDNIK. W takiej decydującej chwili każdy musi dać swój wkład.

IWAN ANTONOW. I tym moim wkładem ma być owca?

URZĘDNIK. Wiem, wiem, że to niełatwe. Hodowanie owcy w warunkach miejskich to prawdziwe piekło. Ale... nie jesteśmy sami! Otrzymaliśmy najnowszy podręcznik. (*Pokazuje.*) Chemiczny sposób strzyżenia owiec, niezwykle interesująca nowość. Do paszy owiec dodaje się określone ilości cyklofosfamidu. Po sześciu dniach runo samo wypada!!!

IWAN ANTONOW. Niemożliwe!

URZĘDNIK. Przy tym jest to sposób absolutnie nieszkodliwy zarówno dla zwierzęcia, jak i dla wełny. Także eksperymenty przeprowadzone na królikach dały pomyślne rezultaty. Czy pan ma króliki?

*Przy tych słowach Urzędnika Iwan zamyśla się.*

ŻORO. Nie! Nie!... Nie!...

URZĘDNIK. Rozumiem, tylko owcę. Szkoda. Jedyne problem w tym, że po wypadnięciu runa zwierzęta są całkiem gołe i przez jakieś trzy tygodnie trzeba je trzymać w ciepłe. Ale to także nie jest takie straszne, ponieważ sprawa opłat za opiekę nad zwierzętami należącymi do osób prywatnych została już prawnie uregulowana.

ŻORO. Wreszcie to załatwiono?

URZĘDNIK. Właśnie.

ŻORO. To on może sobie teraz wynająć kogoś, kto mu będzie paść owcę na skwerku przed uniwersytetem, podczas gdy on ma wykłady?

URZĘDNIK. Oczywiście.

IWAN ANTONOW. I będę mógł do niej zaglądać podczas przerw w zajęciach?

EWGENI. To ogromne ułatwienie. A czy ten człowiek dostanie odzież roboczą?

ŻORO. A radio tranzystorowe?

IWAN ANTONOW. Będzie ją komu paść, problem odzieży roboczej załatwiony, wskazówki metodyczne już mam, zostaje mi tylko jedno – zdobyć owcę. W takiej sytuacji trudno i darmo: stanę na głowie, a zdobędę.

URZĘDNIK. Jak tak można, obywatelu Antonow, przecież jesteście inteligentnym człowiekiem. Powinniście się szcycić swoją owcą, a nie próbować ją ukryć.

IWAN ANTONOW. Szczycę się. Jestem dumny. Ale nie mam owcy, proszę zrozumieć. W jakim języku mam do pana mówić?

URZĘDNIK. Nawet gdyby pan jej nie miał, to powinien by pan kupić.

Mówiliśmy o migracji, o terenach górskich, o problemie paszowym, o błędach przeszłości... Tu właśnie wychodzi na jaw świadomość i zaangażowanie każdego obywatela. A jeszcze w sytuacji, kiedy owca już jest – dziwię się, bardzo się dziwię! Przy tym zajmuje się pan wychowywaniem młodzieży, nauczaniem. Powstaje pytanie: czego ją pan uczy? I czy to właśnie pan powinien ją uczyć? Bardzo nieładnie, obywatelu Antonow, bardzo nieładnie. A ci dwaj młodzi, zdolni ludzie, których pan za sobą pociągnął... Powiedzcie sami, obywatele, dokąd wy zmierzacie? Chcecie udowodnić, że nie ma owcy? A może wy także bezprawnie hodujecie owce? Może zajmujecie się nielegalnym handlem artykułami mleczarskimi?!

ŻORO. Ten człowiek nas wykończy.

URZĘDNIK. Ma pan świętą rację.

*Trzej przyjaciele wychodzą.*

DERMENDŻIJEWA (*cicho*). Czy ty nie rozumiesz, że on nie ma owcy?

URZĘDNIK (*zaskoczony*). Co?!

DERMENDŻIJEWA. On nie ma owcy.

URZĘDNIK. Newena, ty przemówiłaś? Czy w ogóle zdajesz sobie sprawę z tego, co mówisz?

DERMENDŻIJEWA. Tak, powiedziałam, że on nie ma owcy, przecież te jasne.

URZĘDNIK. Nie ma owcy? Czy ty nie jesteś chora?

DERMENDŹIJEWA. Czuję się bardzo dobrze.

URZĘDNIK. Opowiadać takie rzeczy...

DERMENDŹIJEWA. Moim zdaniem, tu nie ma co opowiadać, tylko trzeba sprostować tę pomyłkę.

URZĘDNIK. Co za pomyłkę, jaką pomyłkę? Kto tu się pomylił? I dlaczego to ma być pomyłka? I skąd ty jesteś taka pewna, że on nie ma owcy?

DERMENDŹIJEWA. Po prostu mu wierzę.

URZĘDNIK. Wierzy mu! To przecież nie jest cerkiew. Na co komu ta wiara? Wpłynęły do nas informacje? Wpłynęły. Jest tam jego podpis? Jest. Numer dowodu? Zgadza się. A ty mi opowiadasz, że mu wierzysz.

DERMENDŹIJEWA. A czemu stale nam powtarzają, że trzeba wierzyć w człowieka, skoro nikt tego nie robi?

URZĘDNIK. Coś jej się stało... Tyle lat tutaj pracuje, cicha, milcząca, potulna i nagle... Newena, może byś wyszła trochę na powietrze? Co, Newena?

DERMENDŹIJEWA. Kiedy ja się świetnie czuję, nic mi nie jest. (*Uśmiecha się gorzko.*) Przez tyle lat człowiek milczy, a kiedy raz powie to, co naprawdę myśli, to wszyscy uważają, że zwariował.

URZĘDNIK. Newena, Newena!... Opamiętaj się!

DERMENDŹIJEWA. Kiedy ryby zaczynają mówić, to wszyscy strasznie się dziwią, prawda? Tylko dlatego, że ryby podobno nie mają głosu.

URZĘDNIK. Więc to tak, Newena? Popatrz, popatrz! A ja myślałem, że z tobą coś niedobrze.

DERMENDŹIJEWA. I nie pomyliłeś się. Gdybyś był trochę mądrzejszy, to byś już dawno zauważył, że przez te wszystkie lata tutaj było mi niedobrze. Okazji miałeś dość.

URZĘDNIK. Boję się, że w przyszłości będzie ci coraz gorzej.

DERMENDŹIJEWA. Znasz ten kawał: "Jeśli w wieku sześćdziesięciu lat po obudzeniu się stwierdzisz, że nic cię nie boli – to znaczy, że umarłeś." W nieco szerszym znaczeniu dotyczy to wszystkich, nie tylko tych, którzy mają sześćdziesiąt lat.

URZĘDNIK. A ja tam wolę, żeby mnie nic nie bolało. Ani w wieku sześćdziesięciu lat, ani przedtem. I jeszcze coś – na twoim miejscu nie opowiadałbym kawałów w godzinach pracy.

DERMENDŹIJEWA. Jeśli chodzi o kawały, to ten o hodowli był o wiele śmieszniejszy.

URZĘDNIK. Przekraczasz wszelkie granice!

DERMENDŹIJEWA. Widocznie kiedyś musiałam je przekroczyć. I wypadło to na dzisiejszy dzień.

URZĘDNIK. Ale granic nie przekracza się bezkarnie!

DERMENDŹIJEWA (*z kpinką*). To było powiedziane tonem człowieka, który nieustannie przekraczał w swoim życiu jakieś granice.

URZĘDNIK. Raczej tonem człowieka, który był świadkiem tego, co dzieje się potem.

DERMENDŻIJEWA. A mnie się sprzykrzyło być świadkiem! Świadców się robi coraz więcej, czasem czuję się, jakbym była kibicem na stadionie. A ja chcę brać udział.

URZĘDNIK. W czym?

DERMENDŻIJEWA. Może ja też kupię sobie owcę. Ja też chcę hodować.

URZĘDNIK. Chyba żartujesz?

DERMENDŻIJEWA. Idę z nimi. Bo ty nie zrobisz nic, żeby tę sprawę załatwić. Znam cię.

URZĘDNIK. Z nimi?! Chcesz być koniem trojańskim?! Opowiadasz się przeciwko swoim kolegom?

DERMENDŻIJEWA. Zgadłeś.

URZĘDNIK. "Zbyt ciasno mej duszy w monasteru ścianach", tak?... Dobrze, dobrze, koleżanko Dermendżijewa, proszę, idźcie, droga jest stroma, lecz pełna chwały. A gdybyście kiedy szukali pracy, to proszę się zgłosić, a nuż coś wymyślimy. Po starej znajomości.

DERMENDŻIJEWA. Z góry dziękuję. (*Wychodzi.*)

*Wysoki mały stolik, jak w barkach kawowych. Trzej przyjaciele stojąc piją kawę. Podchodzi do nich Dermendżijewa.*

DERMENDŻIJEWA. Idę z wami. Bo on nie zrobi nic, żeby załatwić waszą sprawę. Znam go dobrze.

ŻORO. Tylko kobiety nam brakowało do towarzystwa! Gdzie pani ma rozum, żeby z nami iść? Proszę wracać, póki nie jest za późno.

DERMENDŻIJEWA. Ja nie wiem, gdzie miałam rozum, żeby tam siedzieć.

EWGENI. Nie, naprawdę, proszę się zastanowić. Przecież pani tutaj pracuje. To nie żarty.

DERMENDŻIJEWA. Zastanowić się... Od ilu lat nic, tylko się zastanawiam. Przeszła połowa życia, gdzieś się zgubiły te wszystkie lata, nie pamiętam nawet, ile... Rano budzi cię dziecko sąsiadów, bo je znów za coś biją, a to dlatego że mają ciasne mieszkanie i włożą sobie nawzajem na odciski, potem tłoczysz się w tramwaju, portier cię strofuje za spóźnienie, bułka, którą dojadasz na schodach, jest sucha i smakuje jak trociny, ukradkiem przeglądasz pismo, podlewasz kwiatki, nabierasz w płuca powietrza i zaczynasz – korespondencja, sprawa numer... piszesz, piszesz, milczysz, a kiedy popatrzysz w okno, to stale ci się wydaje, że tam przelatują gołębie, bezwiednie i ty zaczynasz poruszać rękami, ale potem je opuszczasz i znowu zagrzebujesz się w korespondencji... A na dworze już pada śnieg, zasypuje liście, a przecież jeszcze wczoraj była wiosna i długo nie zasypiałaś w ciepłe noce, ciągle czekałaś, że coś się zdarzy, że ktoś przyjdzie... Potem znowu przychodzi wiosna, przelatuje między palcami lato, jeden rok, następne... Okłamują cię na ulicy, okłamują cię przy kawie, prowadzą cię do kina, ale nikt do ciebie nie mówi, nikt cię nie słucha, tylko się pchają z łapami... Twój kolega ma ochotę iść z tobą do łóżka, ale nie ma w nim nic, co by cię pociągało: ani nie jest przystojny, ani nie jest mądry, ani nawet nie

jest idiotą – nic, jest stale jednakowy, wszystkiego się boi, nosi czarne skarpetki i tylko proponuje ci, żebyś przyszła do niego posłuchać płyt... A nie ma ani jednej płyty... I to jest życie? Wszyscy tak żyją? Obiad w stołówce, ziemniaki z mięsem, "Słyszeliście, żona Iwana chodzi z dentystą!", a potem ryż na słodko i "Do sklepu rzucili importowane buty, tylko strasznie drogie!", "Drogie, drogie, a ten Georgijew to kompletny idiota, nie wiem, jak go tyle czasu trzymają..." I znowu korespondencja, sprawa numer, i znowu się tłoczysz w tramwaju... I tak przez całe lata, pół życia przeszło, nie zostałam ani Marią Curie, ani Sophią Loren, ani nawet kobietą-kapitanem statku. Kiedy byłam mała, marzyłam, żeby być ptakiem... Ciągle mi się śniło, że latam. Leciałam, leciałam... (pauza) A wy mi proponujecie, żebym wróciła. Dziękuję, nie skorzystam. Kto ma ochotę – proszę bardzo. Pensja jest znośna, stosunki sympatyczne, praca – spokojna. Czy ktoś reflektuje? Bardzo proszę, etat jest wolny.

*Trzej przyjaciele milczą. Dermendżijewa patrzy na nich i uśmiecha się z wyrazem winy.*

DERMENDŻIJEWA. Nie bójcie się, ja zwykle milczę. To tylko teraz tak wyszło... Ale raz na dziesięć lat to nie jest tak często, prawda? Raz na dziesięć lat chyba można.

#### Kurtyna

*Wszyscy czworo dalej wędrują przez biuro. Zatrzymują się przed drzwiami.*

DERMENDŻIJEWA. No, jesteśmy. To tutaj. To mądry człowiek, na pewno nas zrozumie.

EWGENI. Właśnie tego się boję.

DERMENDŻIJEWA. Jeśli będzie mógł, to nam pomoże. Jestem pewna.

IWAN ANTONOW. No to wchodźmy.

*Wchodzą.*

*W pokoju grzecznie bawi się na podłodze dziecko. Podłoga jest zasłana chodnikami. Piec kuchenny, na nim garnek, z garnka unosi się para. Łóżko z wysokimi oparciami, krzesła, szafa, telewizor, lodówka, na ścianach rodzinne zdjęcia, kalendarz, stół z kolorowym obrusem, komplet pojemników na przyprawę. Kobieta w fartuchu obiera ziemniaki – miły obrazek rodzinny.*

GOSPODYNI. Dzień dobry. Proszę bardzo... proszę... (Sadza ich.) Może na łóżku... Proszę, proszę siadać. U nas trochę ciasno, proszę wybaczyć, a i krzesel brakuje... Ale kiedy wszyscy w jednym pokoju... Obieram ziemniaki na zapiekanke. (Zdejmuje fartuch.) Mirczo, synku, poczęstuj gości czekoladkami!



*Goście są kompletnie dezorientowani.*

*Dziecko idzie do szafy, wyciąga pudełko z czekoladkami, częstuje gości, chowa pudełko z powrotem do szafy i dalej bawi się na podłodze samochodzikami.*

*Niezręczne milczenie, goście nie wiedzą, co robić.*

Pogoda coś się nam psuje...

EWGENI. Oziębilo się.

IWAN ANTONOW. Idzie ku zimie...

ŻORO. Tak, i liście opadają... *(Dodaje dla wyjaśnienia.)* z drzew.

GOSPODYNI. W zeszłym roku były wielkie deszcze...

IWAN ANTONOW. Duże deszcze spadły w zeszłym roku.

*Milkną, pauza.*

DERMENDŻIJEWA *(próbuje uratować niezręczną sytuację)*. Ma pani uroczego synka. No, malutki, jak masz na imię?

*Malutki milczy.*

GOSPODYNI *(oczy napęlniają jej się nagle łzami)*. Nieoficjalnie Cwetoimir.

DERMENDŻIJEWA. Jak to nieoficjalnie? A oficjalnie?

GOSPODYNI. Oficjalnie to on nie ma imienia.

IWAN ANTONOW. Jak to nie ma imienia? Przecież ma?

GOSPODYNI. Nie chcieli go zapisać z tym imieniem. Podobno nie ma go w spisie.

DERMENDŻIJEWA. Jak to nie chcieli? W jakim spisie?

GOSPODYNI. Tam gdzie zapisują noworodki, to jest taki spis ładnych imion. I biorą tylko imiona z tego spisu. Inaczej nie chcą zapisać dziecka. A myśmy go jeszcze na porodówce tak ochrztili, to jak teraz zmieniać dziecku imię? Prosimy, błagamy – na nic: tego imienia nie ma w spisie i już. I w ten sposób nasze dziecko nie ma imienia. Oficjalnie. I w ogóle nigdzie nie jest zapisany – całkiem jakby w ogóle nie istniał.

DERMENDŻIJEWA. Bardzo panią przepraszam, że... ale skąd mogłam przypuszczać...

GOSPODYNI. Nie szkodzi, ja się już przyzwyczaiłam.

DERMENDŻIJEWA. Czy to nie w tym pokoju pracował Janakijew? Zdaje się, że to tu był jego wydział?

GOSPODYNI. My tu jesteśmy od pięciu lat, ale Janakijewa nie znam. Może przedtem tu pracował.

DERMENDŻIJEWA. Od pięciu lat? Pani tu mieszka?!

GOSPODYNI *(tłumaczy jak rzecz najnormalniejszą w świecie)*. Tak. Nasz dom był przeznaczony do rozbiórki, bo poszerzali ulicę i lada moment mieli nam dać mieszkanie, ale wiecie, jak to jest, mieszkań stale brakuje, a potrzebujących wielu... Dawali nam pokoje, ale ciągle w jakichś przeszkadzających domach i

zawsze po tygodniu czy dwóch te domy były burzone, a nas wysyłano do innych i te inne też zaraz szły do rozbiórki. Teraz bardzo dużo ulic się poszerza. W sumie to mieszkaliśmy głównie na ulicy, przeprowadzając się z jednego mieszkania do drugiego. Ale kiedy się urodził mały, to już nie mogliśmy mieszkać na ulicy i przyszliliśmy tutaj... Sprawa była niecierpiąca zwłoki. Wtedy nam dali ten pokój, tymczasowo, to dawna kancelaria, dopóki sprawa nie zostanie załatwiona.

IWAN ANTONOW. Ale przecież to jest biuro, jak państwo tutaj mieszkanie?!

GOSPODYNI. Przyzwyczailiśmy się. Nawet pod pewnymi względami jest bardzo wygodnie, kiedy potrzebujemy jakiegoś zaświadczenia czy innego dokumentu, wszystko jest pod ręką. Kiedy wychodzę na zakupy, to urzędnicy z sąsiednich pokoi pilnują, żeby zupa nie wykipiała, zaglądają do dziecka. Dobrych mamy sąsiadów, nie mogę narzekać. Mój mąż to nie od razu się przyzwyczaił, taki już ma charakter, ale teraz i on jest zadowolony. W ogóle nie powiem, zadowoleni jesteśmy... Czy ten Janakijew to nie będzie taki średniego wzrostu, z czarnymi oczami... tak dziwnie nimi mruga...

DERMENDŻIJEWA. Tak, tak, to właśnie ten.

GOSPODYNI. On pracuje piętro wyżej, dokładnie nad nami. Kiedyś zajrzał tu, bo powiedział, że poczuł zapach cząmburu, i że tę przyprawę to on lubi jeszcze od małego. Akurat ten bób, co go robiłam, był już gotowy, poczęstowałam go... A państwo nie zostalibyście na obiedzie, zapiekanka zaraz będzie gotowa...

IWAN ANTONOW. Nie, dziękujemy, musimy iść do Janakijewa.

GOSPODYNI. Jak chcecie, ale zapiekanka już prawie gotowa.

*Ewgeni, Dermendżijewa i Iwan Antonow wychodzą.*

*Żoro, który tymczasem zaczął się bawić z małym – turlają do siebie nawzajem samochodzik – zostaje na podłodze, nie zauważony przez innych.*

*Po chwili Iwan Antonow wraca.*

IWAN ANTONOW. No, co jest?

ŻORO. Ja zostaję.

IWAN ANTONOW. Jak to zostajesz?

ŻORO. Lubię zapiekankę. Już od dziecka. To moja ulubiona potrawa.

IWAN ANTONOW. Przecież mamy iść do Janakijewa?

ŻORO. Ja nie idę.

IWAN ANTONOW. Jak to nie idziesz? Jeśli jesteś głodny, to poczekamy na ciebie.

ŻORO. Nie.

IWAN ANTONOW. Żoro, nie żartuj. Przecież idziemy wreszcie wyjaśnić, że nie ma żadnej owcy! A ty nie idziesz?

ŻORO. Zmęczyłem się. Zmęczyłem się chodzeniem, wyjaśnianiem, robieniem skandali, drapaniem się po piętach. Zmęczyłem się bieganiem po tych korytarzach i gonieniem za prawdą, nie chce mi się już, zmęczony jestem. Mam czterdzieści dwa lata, nie jestem miody, chcę mieć rodzinę, dzieci, żeby żona

ubrana w fartuszek witała mnie w drzwiach... A czas leci, chodzimy po tych korytarzach i załatwiamy sprawę owcy, i nie wiadomo, kiedy wyjdziemy i czy w ogóle kiedykolwiek wyjdziemy... Wiem, jestem twoim przyjacielem od lat dzieciennych, ale ja też jestem człowiekiem, ja też chcę żyć jak ludzie. A żyje się przecież tylko raz.

IWAN ANTONOW. Jeszcze trochę, jeszcze tylko jedno piętro!

ŻORO. Jedno. A potem? Ile pięter dotychczas przeszliśmy? Nie, nie mam sił nawet na pół piętra. Nie chcę. Spróbuję tej zapiekanki i idę.

IWAN ANTONOW. Przecież słyszałeś, to podobno inteligentny człowiek, na pewno nas zrozumie. Nie zostawiaj nas pośrodku drogi.

ŻORO. Ta droga nie ma końca. Nie chcę nią iść aż do chwili, gdy padnę ze zmęczenia. Życie mija, a ja też chcę żyć jak człowiek.

IWAN ANTONOW. Jak jaki człowiek? To jest ważne.

ŻORO. Jak zwykły człowiek. Najzwyczajniejszy. Czy to ja jestem winien, żeś ty sobie kupił zamszową marynarkę? Ty idziesz za swoją prawdą, ja za swoją. Nie jestem bohaterem, nie chcę być Giordanem Brunem, chcę pozostać najzwyczajniejszym człowiekiem. Mam do tego prawo.

IWAN ANTONOW. Pewnego dnia ty też dostaniesz wezwanie. Co wtedy zrobisz?

ŻORO. Dajcie mi spokój!

*Siada na łóżku.*

IWAN ANTONOW. Ja także nie jestem bohaterem, nie jestem Giordanem Brunem, ale przecież tak nie można z ludźmi postępować. Nie widzisz, co się dzieje? Chodzimy, wyjaśniamy, tłumaczymy, przysięgamy – wszystko na nic. Powietrze, próżnia! I okazuje się, że tyle lat pracy, wszystkie wysiłki, rozprawy naukowe, wrażliwość, zasady, w ogóle całe życie, że to wszystko jest bez znaczenia, że zostaje przekreślone jednym pociągnięciem ołówka. Tylko dlatego, że gdzieś coś zostało zapisane! Więc jeden prosty zapis może przewrócić do góry nogami całe nasze życie? Mimo że to nie jest zgodne z prawdą? I my nic na to nie możemy poradzić? Nie, tak nie może być, to niemożliwe. Nie zgadzam się. I nigdy się nie zgodzę. I ty się nie zgodzisz. Rozumiesz? Nie możesz się zgodzić. Inaczej jutro, kiedy spojrzymy na siebie w lustrze, z naszych ust rozlegnie się beczenie. Rozumiesz? Beczenie. No, wstawaj. Wstawaj i idziemy. Słyszysz, Żoro?

ŻORO. Zmęczony jestem.

*Iwan Antonow patrzy na niego, potem odwraca się do publiczności i patrzy na nią. Gospodyni z głębi sceny także patrzy na publiczność. Dziecko też na nią patrzy. Żoro – również. Stopniowo lampy zaczynają się rozjaśniać. Kiedy na widowni robi się całkiem jasno – Iwan Antonow wychodzi.*

Kurtyna

## Akt drugi

*Wiszący pochmurny, siedzi w swojej windzie. Na dole, przykucnięta na torbie, milczy jego Żona. Coś nie gra, to jasne.*

WISZĄCY. Szarpiesz mi tylko nerwy! Czemu milczysz?

ŻONA. Czasem lepiej jest milczeć niż mówić.

WISZĄCY. Do diabła z tymi wschodnimi sentencjami! Sama widzisz, co się ze mną dzieje. No, mów! Może się ożenił?

ŻONA. Nie.

WISZĄCY. Więc co?

ŻONA. Chcą cię zwolnić.

WISZĄCY. Mnie? Dlaczego?

ŻONA. Z powodu nieobecności w pracy.

WISZĄCY. Przecież to idiotyzm. Jak mam być obecny? Kpią sobie ze mnie czy co? Przecież doskonale wiedzą, że jestem w windzie!

ŻONA. Powiedzieli: "A skąd możemy wiedzieć, czy on w tej windzie już w ogóle nie zostanie? Kto nam zagwarantuje?"

WISZĄCY. Tak jakbym ja tu siedział dla własnej przyjemności! Przecież ja tu cierpię... męczę się... pomagam nauce... Jakże tak?

ŻONA. Powiedzieli: "To prawda, ale tak czy inaczej w pracy go nie ma.

Zamiast pracować, on tam sobie wisi. To nie nasza wina, że ta winda się zepsuła, praca jest pracą i nie czeka."

WISZĄCY. Ale ja stąd wyjdę, nie będę tu wisiał wiecznie. Powiedziałaś im to?

ŻONA. Powiedziałam.

WISZĄCY. I?

ŻONA. Powiedzieli: "Poczekamy na niego jeszcze dwa-trzy miesiące. Ale nie dłużej. Jeśli do tej pory się nie zjawi"...

WISZĄCY. To co?

ŻONA. Za obopólną zgodą.

WISZĄCY. Ale ja się nie zgadzam! Co to znaczy "za obopólną zgodą"? Jak ma być za obopólną zgodą, kiedy ja się nie zgadzam?

ŻONA. Powiedzieli: "On się do tego czasu zgodzi, nic mu innego nie pozostanie."

*Wiszący zamysła się. Żona też milczy.*

WISZĄCY. Przynieś mi "Jak hartowała się stal".

## Kurtyna

*Pokój Janakijewa. Urzędnik naprawia starą pozytywkę, na biurku ma porozrzucane kółka zębate, sprzężyny, części pozytywki, dłutka. Wchodzi Iwan Antonow, Ewgeni i Dermendżijewa.*

IWAN ANTONOW. Dzień dobry, pan Janakijew?

URZĘDNIK. To ja. Proszę bardzo. Oho, toż to cała delegacja. Proszę bardzo, niech państwo siadają. Zabrałem się do naprawiania tej pozytywki, ale słabo mi idzie, jest bardzo stara... Nie pokazuje godzin, ale gra.

*Z pozytywki rozlega się sentymentalna melodia, stary menuet, Mozart. Wszyscy słuchają.*

Jak się wam podoba? Osiemnasty wiek, Ludwik XVI... I mimo to – gra! No, czym mogę państwu służyć?

IWAN ANTONOW. Nasza sprawa jest dość skomplikowana...

URZĘDNIK. A to może jest proste? (*Wskazuje na pozytywkę.*) Trzysta siedem części! No, śmiało, proszę powiedzieć, o co chodzi.

EWGENI. Byliśmy już w wielu miejscach, dlatego...

URZĘDNIK. Słucham.

IWAN ANTONOW. Mam zacząć od początku?

URZĘDNIK. Od czego pan chce.

IWAN ANTONOW. Od początku. Kupiłem sobie zamszową marynarkę...

URZĘDNIK. Aa, więc to pan jest ten z marynarką? Wiem. To rzeczywiście głupia historia.

EWGENI. Idiotyczna.

DERMENDŻIJEWA. Ale mimo to – jasna jak słońce.

URZĘDNIK. Tak, sprawa jest jasna – pan nie ma owcy, po prostu doszło do nader przykrej pomyłki.

IWAN ANTONOW. Tak, wszystko jest właśnie tak, jak pan mówi.

URZĘDNIK. W rzeczywistości strzygł pan nie owcę, tylko marynarkę.

EWGENI. Tak, sam go namówiłem.

DERMENDŻIEWA (*do Iwana*). Widzisz, mówiłam ci!

URZĘDNIK. I potem włączony pan został do rejestrów jako właściciel owcy.

DERMENDŻIJEWA. Co jest pomyłką.

URZĘDNIK. Co jest pomyłką. Włączony pan tam został pomyłkowo.

IWAN ANTONOW. Właśnie.

URZĘDNIK. Wszystko to jest jasne jak słońce.

EWGENI. Ja chyba śnię!

URZĘDNIK. Pan nie posiada owcy.

IWAN ANTONOW. Nie posiadam.

URZĘDNIK. I właśnie to jest najgorsze.

IWAN ANTONOW (*zaskoczony, aż wstaje*). Jak to?

URZĘDNIK. Zasadnicza trudność polega na tym, że pan ani nie posiada owcy, ani nie chce się zgodzić na to, by ją posiadać. Inaczej rozwiązalibyśmy tę sprawę w ciągu pięciu minut.

IWAN ANTONOW. Nic nie rozumiem.

URZĘDNIK. Gdyby pan posiadał, wszystko byłoby proste – przerzucilibyśmy ją do innego rejestru, wykreślili jako zdechłą na nosaciznę, zrobilibyśmy z nią, co pan tylko chce. Ale pan nie posiada.

IWAN ANTONOW. Dalej nie rozumiem.

EWGENI. Ani ja.

URZĘDNIK. To całkiem proste. Zaszła pomyłka, prawda?

IWAN ANTONOW. To rozumiem.

URZĘDNIK. Problem polega na tym, że dzisiaj nikt się nie przyznaje do popełnienia pomyłki. Taki styl. Dzisiaj robi się pięć nowych pomyłek, byle tylko ukryć tę starą. Rozumie pan? Dlatego tyle oczywistych pomyłek uchodzi wciąż jeszcze za sukcesy. Teraz już nikt się nie przyzna, że popełnił pomyłkę z pańską marynarką. Będzie twierdził, że to owca, nawet gdyby go ukrzyżowano, nawet gdyby sam włożył tę marynarkę i zapiał ją na wszystkie guziki. Rozumie pan? Tak że na próżno usiłuje pan udowodnić, że to jest marynarka. (*Wskazuje marynarkę.*) Z tej sytuacji są tylko dwa wyjścia.

IWAN ANTONOW. Jakie?

URZĘDNIK. Jedno to zacząć płacić podatek. To jest najszybsze.

IWAN ANTONOW. Tego tylko brakowało.

URZĘDNIK. Nie zgadza się pan?

IWAN ANTONOW. Gdybym się zgadzał, to od razu bym to zrobił. A drugie wyjście?

URZĘDNIK. No to niech się pan przynajmniej przyzna, że ma pan owcę.

Fikcyjnie. Żebyśmy czymś rozporządzali.

IWAN ANTONOW. Wspomniał pan o jeszcze jednym wyjściu?

URZĘDNIK. Drugie wyjście jest takie, żeby pan sobie kupił owcę.

IWAN ANTONOW (*po pauzie*). Co?! Żebym kupił owcę?... Pan uważa, że to jest wyjście?

URZĘDNIK. Proszę mnie posłuchać. Gdybym dysponował owcą, fikcyjną lub nie, mógłbym z nią zrobić, co pan tylko zechce. Czemu by pan nie miał kupić sobie owcy? Pan jest żonaty?

IWAN ANTONOW. Co?... A nie, nie jestem.

URZĘDNIK. Tym, czego panu brakuje, jest właśnie owca. Łagodne stworzenie, skromne, ufne, bardzo szybko się przywiązuje. Zasługuje na miłość, to nie to co, powiedzmy, pies albo kot, które mają i przewrotny charakter, i pazury, i jeszcze inne nieprzyjemne cechy. Owca to coś całkiem innego. Nie umie nienawidzić, nie jest mściwa, nie chowa urazy... Gdybym nie zbierał pozytywek, tobym sobie kupił owcę. Z owcą człowiek nie jest samotny. Owca stwarza w domu szczególną atmosferę, nie ma mowy o żadnym wyobcowaniu, o alienacji. Poza tym owca wprowadza pewien element ludowości, folkloru, powiązania z przyrodą... Żeby pan wiedział, jak mi brakuje tych rzeczy, jak się od nich oderwałem... Nie mówiąc już o tym, że w każdej chwili będzie pan miał w domu świeże owcze mleko, oszczypki, żętycę i inne produkty. Przy tym naturalne, pochodzące wprost od producenta, który poza wszystkim innym jest i pana bliskim

przyjacielem, do którego pan ma pełne zaufanie... Moja rada jest taka, żeby pan sobie kupił owcę.

*Iwan Antonow milczy wstrząśnięty, nie jest w stanie nic powiedzieć.*

URZĘDNIK. Niech pan kupi, gorąco pana namawiam, w ten sposób zaoszczędzi pan sobie ogromnych nieprzyjemności, szarpania nerwów, będzie pan miał w domu przyjaciela. A i mnie pozwoli to panu pomóc. Podczas gdy bez owcy mam związane ręce.

IWAN ANTONOW. A więc jedynym sposobem udowodnienia, że nie mam owcy, jest kupienie sobie owcy. Tak?

URZĘDNIK. Z pana sytuacji można wyjść tylko dzięki owcy. Zapewniam pana.

IWAN ANTONOW. Bardzo dziękuję, ale spróbuję z niej wyjść bez owcy.

URZĘDNIK (*wzdycha*). Jaki pan jeszcze młody. Zresztą jak pan chce, ja szczerze miałem ochotę panu pomóc. W młodości też taki byłem – wciąż w ruchu, w ruchu... Co to były za lata! Co za życie!

*Nagle rozlega się menuet z pozytywki, jakby to się odzywała miniona młodość Janakijewa.*

*Wszyscy troje wychodzą. Ewgeni idzie pierwszy. Raptownie zwraca się do Iwana Antonowa.*

EWGENI. Słuchaj, czemu byś się nie miał zgodzić?

IWAN ANTONOW. Nie mogę, w ten sposób jutro mogą mnie zmusić do płacenia podatku za posiadanie słonia.

EWGENI. Chociaż przyznaj, że masz owcę. Ten facet byt gotów ci pomóc – i wreszcie byś skończył z tą sprawą.

IWAN ANTONOW. Nie! Nie! Nie!

EWGENI. Zrozum, że i dla ciebie tak będzie lepiej. Koniec końców trzeba czasem iść na pewien kompromis. Przez tę historię możesz mieć kłopoty na uniwersytecie.

IWAN ANTONOW. Ale jak mam się na to zgodzić, kiedy to nieprawda?

EWGENI. Nie bądź naiwny. Pomyśl lepiej o sobie, zamiast się troszczyć o to, co jest prawdą, a co nie.

*Iwan gwałtownie rusza naprzód. Ewgeni zostaje sam. W tym momencie staje im na drodze Człowiek w garniturze, objuczony maszynkami elektrycznymi i tygielkami do kawy.*

CZŁOWIEK W GARNITURZE (*do Iwana*). Gdzieżeś pan schował maszynkę?

IWAN ANTONOW. Ja nie mam maszynki.

CZŁOWIEK W GARNITURZE (*pokazuje maszynki*). Ci też mówili, że nie mają. Nie szkodzi, jeszcze się spotkamy. (*Idzie dalej.*)

IWAN ANTONOW. Kto to jest? Już trzeci raz go widzę.  
DERMENDŻIJEWA. Odpowiada z ramienia behape za ochronę przeciwpożarową, zajmuje się tym społecznie.  
IWAN ANTONOW. A ja myślałem, że to jakiś stuknięty.  
EWGENI. A ja myślę, że powinniśmy z tym wszystkim skończyć. Nie ma sensu dłużej jej ukrywać. Sam widzisz. Me ma sensu.  
IWAN ANTONOW. O czym ty mówisz?  
EWGENI. O owcy.  
DERMENDŻIJEWA. O jakiej owcy?  
EWGENI. O jego owcy.  
DERMENDŻIJEWA. Jak to o jego owcy? On ma owcę?  
EWGENI. Oczywiście, że ma.  
IWAN ANTONOW. Ejże, co ci się stało?  
EWGENI. Nie ma sensu dłużej jej ukrywać.  
IWAN ANTONOW. Chłopie, czyś ty zwariował? Coś mu się stało... Ewgeni, stary, co z tobą?  
DERMENDŻIJEWA. To ty masz owcę?  
EWGENI. Od wielu lat. Taką białą. Bardzo jest do niej przywiązany: Cała przyjemność patrzeć, jak ze sobą rozmawiają. Albo jak jej wiąże wstążeczkę. Ona zawsze chodzi ze wstążeczką...  
DERMENDŻIJEWA (*patrzy na Iwana Antonowa*). To ty masz owcę?  
EWGENI. A jak do niej przemawia, jakimi imionami! A ona leży na dywanie, przymyka oczy... Trudno uwierzyć, że to owca.  
DERMENDŻIJEWA (*patrząc Iwanowi w oczy*). A więc...  
EWGENI. On ją po prostu kocha. Nie uważa jej za zwierzę, dlatego nie chce zapłacić podatku. Ale nie przypuszczałem, że całkiem się jej wyprze. A on się wyparł. Po tylu latach, po tym wszystkim, co ich wiąże. Wyparł się.  
IWAN ANTONOW. Tak, to prawda. Ja mam owcę.  
EWGENI. Masz.  
DERMENDŻIJEWA. A więc to wszystko, co mówiliście...  
IWAN ANTONOW. Myślałem, że uda mi się ją ukryć, ale nic z tego. I wtedy się jej wyparłem.  
DERMENDŻIJEWA (*z goryczą*). Znowu mnie oszukano... Jak zawsze... Kiedy już ktoś ma pecha, to na całe życie...  
IWAN ANTONOW. Bardzo mi przykro.  
EWGENI. Przykro ci... A czemuś nas ciągał po tych korytarzach? Czemuś okłamywał ludzi? Czemuś pociągnął za sobą i tę nieszczęsną dziewczynę?  
IWAN ANTONOW. Coś się z nim zrobiło przez to chodzenie, nie trzeba się mu sprzeciwiać... Trzeba się zgadzać ze wszystkim, co mówi.  
EWGENI. Ze mną coś się zrobiło? Ze mną wszystko w porządku, po prostu zaczynam mieć powyżej uszu tej twojej pryncypialności. Słyszysz, powyżej uszu! Przez tyle lat chodzisz po świecie taki strasznie pryncypialny, taki okropnie uczciwy. I przez tyle lat pchasz nam przed oczy tę swoją uczciwość, zobaczcie, jaki jestem pryncypialny, jaki uczciwy, jak bronię własnego



stanowiska. A wy nie, wy jesteście chorągiewki na wietrze, wy jesteście ślimaki, co to pełznąć chcą wejść na najwyższą górkę... Mogę nie mieć mieszkania, mogę głodować, mogę żyć byle jak, ale nie zginam karku, nie uznaję kompromisów... I to wszystko tak na marginesie, od niechcienia, chodzi sobie językoznawca po świecie, dłubie się w strukturze zdania złożonego, wsuwa buły na obiad i nawet sobie nie zdaje sprawy, jaki jest pryncypialny... Mam tego po dziurki w nosie! O co ci właściwie chodzi? Że i uczciwie można żyć, tak? Pryncypialnie? Że można mieć zasady i nigdy ich nie łamać? Święta naiwności! Brak ci tylko wizytówki na drzwi: "Nowy człowiek – dzwonić dwa razy"!

IWAN ANTONOW. Nic mu się nie stało. Jest całkiem normalny.

EWGENI. Ale ja nie chcę żyć byle jak, ja chcę żyć dobrze, słyszysz? Kiedy uczyłem się jak wariat, żeby mieć piątkową maturę i dostać się na studia, nauczyciele innym wpisywali piątki. Ten ma ojca naczelnika, tamten mamę dyrektorkę... I piątki się kończyły. Bo nie można było ich dać więcej, niż zaplanowano. I musiałem systematycznie donosić o tym, co się dzieje w klasie, pójść na najgorsze lizusostwo, żeby się do tych przeklętych piątek dorwać. A ty dostawałeś trójki, to prawda, ale też nic nikomu nie byłeś winien... Nawet nauczycielom... I uważałeś to za całkiem naturalne, wcale to nie robiło na tobie wrażenia. Ale na mnie robiło i na całej klasie też. I mimo wszystko dostałeś się na uniwersytet, normalnie, bez żadnych protekcji, i do dziś nie mogę zrozumieć, jak to się stało...

IWAN ANTONOW. Czysty przypadek.

EWGENI. Oczywiście, że czysty przypadek. Bo potem wszystko się ułożyło normalnie. Ty ciągle jeszcze jesteś asystentem, a twoi koledzy mają już docentury. Brak im twoich zdolności, ale zostaną profesorami. A ty zawsze będziesz asystentem. Bo im też działasz na nerwy, jestem tego pewien, tymi swoimi bułami, swoim własnym zdaniem i swoimi zasadami.

IWAN ANTONOW. Mówisz jak jasnowidz.

EWGENI. Mówię jak realista i twój przyjaciel. Ty nigdy nie będziesz miał takiego domu jak mój, takiej żony jak moja i takiego stanowiska jak moje. A ja to osiągnąłem.

IWAN ANTONOW. To normalne – jeden ma zasady, a inny – dom.

EWGENI. Głupi jesteś. Po prostu jesteś głupi, nic nie rozumiesz! Szukasz tej swojej prawdy... I co – znalazłeś ją? Udowodniłeś komuś, że to jest marynarka? Czy choć jedna osoba, nie licząc tej gęsi, w to uwierzyła? Czy choć jedna osoba kiwnęła palcem w twojej sprawie? Droga krzyżowa! Tylko że zamiast krzyża, ty niesiesz na ramionach marynarkę!

IWAN ANTONOW. Przynajmniej dziewczynę zostawiłbyś w spokoju.

EWGENI. Marzyło jej się, żeby być ptakiem... W swoich snach lata w powietrzu! Macha skrzydłami! Gęś!

IWAN ANTONOW. Zostaw ją w spokoju.

EWGENI. Oho! Co, będziesz się może ze mną bić?

DERMENDŻIJEWA. A czemu pan z nami chodził?

EWGENI. Myślałem, że tym razem zrezygnuje. Chciałem zobaczyć, jak rezygnuje. Ale po raz ostatni przekonałem się, że to wariat. Albo udaje wariata, jedno z dwojga. Ale ja nie jestem wariatem. Wiem, że nie warto się porywać z motyką na słońce. Wystarczy odrobina inteligencji, żeby to zrozumieć. Niech sobie słońce świeci. Najlepiej będzie, jeśli zawiążemy owcy kokardkę, zapłacimy za nią podatek i pójdziemy – każdy do swojego domu.

IWAN ANTONOW. Każdy do swojego domu?

EWGENI. Każdy do swojego domu. Tak będzie lepiej, uwierz mi, przecież tak dawno się przyjaźnimy. Zawiąż jej kokardkę i chodźmy. Przed nami owca, a za nią my. Nie możemy przez całe życie lazić po tych korytarzach, to nie ma sensu. Nie ma sensu!

IWAN ANTONOW. A ja się zastanawiałem, skąd nauczyciele tak wszystko wiedzą.

EWGENI. Pół życia już minęło, Iwan, a ty wciąż jeszcze jesz na obiad bułki, stale zabiegany, stale w ruchu. Opamiętaj się! No co, idziemy?

IWAN ANTONOW. Idziemy.

EWGENI. Z owcą?

IWAN ANTONOW. Z marynarką.

*Iwan i Dermendżijewa wychodzą.*

*Ewgeni przez chwilę stoi nieruchomo, potem też wychodzi – w przeciwnym kierunku.*

*Iwan Antonow i Dermendżijewa dalej chodzą po gmachu. Docierają do jakichś drzwi. Stukają, ale nikt nie odpowiada. Naciskają klamkę.*

IWAN ANTONOW. Zamknięte.

DERMENDŻIJEWA. Ale przecież on tam jest! Słyszysz maszynę do liczenia? Tylko on może tę sprawę załatwić, to w jego kompetencji.

*W tym momencie wchodzi Człowiek w garniturze. Znowu niesie maszynki, ich sznury ciągną się za nim po podłodze.*

CZŁOWIEK W GARNITURZE. I tak wam nie otworzy, choćbyście nie wiem jak pukali. On ratuje Wenecję.

DERMENDŻIJEWA. Jaką Wenecję?

CZŁOWIEK W GARNITURZE. Jak to, jaką? Włoską Wenecję, tę z pałacami i kanałami, perłę Adriatyku... Przecież nie ma dwudziestu Wenecji.

IWAN ANTONOW. I przed czym ją ratuje?

CZŁOWIEK W GARNITURZE. Przed zatonięciem. Wenecja zanurza się co roku o ileś tam milimetrów. W ciągu pięćdziesięciu lat zanurzy się do połowy, jeśli nie wymyśli się sposobu zatrzymania tego procesu.

DERMENDŻIJEWA. I on właśnie ratuje Wenecję?

CZŁOWIEK W GARNITURZE. Tak. Szuka sposobu. Już od trzech lat tak się męczy. Nie ma sensu pukać, on nikogo nie przyjmuje.

IWAN ANTONOW. A przecież on odpowiada za podatki?

CZŁOWIEK W GARNITURZE. I co z tego, że odpowiada za podatki? Skoro odpowiada za podatki, to ma dopuścić do katastrofy Wenecji? Tak? Co za ludzie! Gotowi są podpalić cały budynek, żeby się napić kawy, a Wenecja niech sobie tonie. Ludzie to straszni egoiści. Grunt, żeby nam było dobrze, żebyśmy sobie potajemnie robili kawę na maszynkach, chociaż to jest wyraźnie zabronione, a reszta świata niech tonie. Ale pańską maszynkę też dostanę, nie uda się jej panu schować.

IWAN ANTONOW. Nie wątpię, że ją pan dostanie. Jestem tego pewien.

CZŁOWIEK W GARNITURZE. Pełno niezdyscyplinowanych ludzi. (*Do Dermendżijewej.*) I pani maszynkę też dostanę.

DERMENDŻIJEWA. Moją już pan dostał.

CZŁOWIEK W GARNITURZE. Z ogniem nie ma żartów. Kiedy wybuchnie, to niszczy wszystko – i przyjaciół, i znajomych, na nic nie patrzy... Tu nie ma żartów.

IWAN ANTONOW. Ma pan zupełną rację.

DERMENDŻIJEWA. Niech niszczy tych niezdyscyplinowanych.

CZŁOWIEK W GARNITURZE. I zniszczy ich – w ten czy inny sposób!

*Idzie dalej, wchodzi do swojego pokoju. Drżąc z zimna włącza przyniesione przez siebie maszynki.*

Co za lodownia. Już piąty rok naprawiają to centralne. I muszę się męczyć z tym zbieraniem maszynek. Mam już powyżej uszu tej całej pracy społecznej! Że też się nikomu nie chce ruszyć palcem i naprawić...

*Ostatnie słowa wypowiada już nad rozżarzonymi maszynkami, trochę rozmarzony ciepłem.*

## Kurtyna

*Winda. Wiszący robi gimnastykę.*

*Wchodzi jego Żona i Syn.*

ŻONA. Powiedz "Dzień dobry, tatusiu". No!...

SYN. Dzień dobry, tatusiu.

*Obydwoje patrzą w górę.*

WISZĄCY. A, to wy? Chwileczkę.

*Dalej się gimnastykuje.*

WISZĄCY (*kończy*). No, dobra. Co tam u was, co nowego? Jak nauka?

SYN. Jakoś leci.

WISZĄCY. A ta winda jak ci się wydaje? Dasz radę?

SYN. Takich żeśmy jeszcze nie przerabiali.

WISZĄCY. Ale ty czytaj też literaturę fachową. Takich wind jak ta możecie w ogóle nie przerabiać, już się ich nie produkuje.

ŻONA. On się bardzo uczy.

WISZĄCY. Z którego roku macie podręczniki?

SYN. Nie pamiętam... chyba z siedemdziesiątego trzeciego.

WISZĄCY. Wszystko trzeba pamiętać. Tutaj najmniejszy drobiazg może się okazać decydujący.

ŻONA. On pamięta.

WISZĄCY. Powinien wszystko pamiętać, wszystko wiedzieć, wszystko umieć. Ty nie jesteś w takiej sytuacji jak inni – twój ojciec wisi w windzie.

ŻONA. On umie.

SYN. Tak, tatusiu.

WISZĄCY. Pokaż mi teraz dzienniczek.

*Syn i Matka patrzą na siebie, Syn wyciąga z kieszeni dzienniczek i kładzie do koszyka.*

*Wiszący wciąga go na górę.*

WISZĄCY. Taak. Brawo. Twój ojciec wisi tu od miesiący, a ty zbierasz dwóje.

ŻONA. Są też piątki.

WISZĄCY. Z bułgarskiego. Na co mi twoja piątka z bułgarskiego? On się uczy nie po to, żeby zostać poetą, tylko żeby uwolnić swojego ojca z windy.

ŻONA. Dziecko ma duże skłonności literackie...

WISZĄCY. Ja też mam skłonności literackie. Ale wiszę w windzie.

Porozmawiamy, kiedy jemu się to samo przydarzy. Z takimi skłonnościami nic w życiu nie osiągnie.

SYN. Ty myślisz tylko o sobie.

WISZĄCY. Co? Jak ty mówisz do ojca?!

SYN. Inni też mają ojców, i to jakich... A ty tu sobie wisisz...

WISZĄCY (*lodowato*) Co chcesz powiedzieć?

SYN. Chcę powiedzieć, że za wiszenie w windzie nie dostaje się punktów przy przyjmowaniu na studia. Ani dodatkowego metrażu przy staraniach o mieszkanie.

ŻONA (*przestraszona*). On się bardzo uczy.

WISZĄCY. Taak. Może chcesz jeszcze coś powiedzieć?

SYN. Owszem. Że teraz z samymi tylko wiadomościami daleko się nie zajdzie. Nie wiadomości są ważne, ale znajomości.

ŻONA (z przestraczem). On się bardzo uczy.

SYN. Możesz sobie zdawać na studia, ale jak nie masz pleców...

WISZĄCY. Pleców?

SYN. Pleców. Plecy są ważne, tato, a nie głowa. Jak ich nie masz, to zawsze się znajdą lepsi od ciebie. Inni ojcowie biegają, wyszukują ustosunkowanych znajomych, chwala się bohaterską przeszłością swoich przyjaciół, a my? "Co robi twój ojciec? – Mój ojciec wisi w windzie." I to ma być zajęcie? To ma być stanowisko?

ŻONA. On się bardzo uczy.

WISZĄCY. To nie jest stanowisko. To jest nieszczęście. A ty, zamiast mi pomóc, wygłaszasz kazania na temat życia. Ja w twoim wieku bałem się swojemu ojcu jedno słowo powiedzieć!... Plecy! Masz własne plecy, żadnych innych ci nie potrzeba. Nie jesteś wielbłądem.

SYN. Pewnie, według ciebie to wystarczy.

WISZĄCY (*drżącym, przerywanym głosem*). A czy ty wiesz, że twój ojciec może zostać ptakiem? Wiesz, pytam cię?... I ciekaw jestem, co zrobisz, kiedy ja się zamienię w ptaka!... Pisz sobie wtedy wiersze, wygłaszaj kazania o życiu – mnie i tak będzie wszystko jedno.

SYN. Jak to, ptakiem? Jakim ptakiem?

WISZĄCY. Takim... Uczeni powiedzieli, że w wyniku długotrwałego wiszenia w powietrzu mogą nastąpić w moim organizmie pewne zmiany biologiczne.

ŻONA. Boże!...

WISZĄCY. Moje kości staną się lżejsze, wypełnią się powietrzem. Niektóre organy zanikną, inne bardziej się rozwiną. Wtedy będziesz zadowolony! Będziesz mógł wszystkim opowiadać: "Mój ojciec to bardzo ważny ptak!"

ŻONA. Boże kochany!...

SYN. Tato, jak możesz!

WISZĄCY. I kiedy któregoś dnia pojawię się nad naszą ulicą, razem z gołębiami i innymi ptakami, kiedy zakołuję nad dachami i drzewami, a potem wzniosę się ku obłokom, by stać się małym jasnym punktem, wtedy powiecie: "Jakiego mieliśmy ojca! Ale nie docenialiśmy go. I odleciał!"

ŻONA (*wyciąga ręce*). Kirczo!

SYN. Tatusiu! (*Wyciąga ręce, jakby chcąc go przytrzymać, by nie odleciał.*)

WISZĄCY (*po pauzie*). A teraz idźcie już. Idźcie, chcę zostać sam...

*Obydwoje wychodzą z pochylonymi głowami.*

*Iwan Antonow i Dermendżijewa dalej wędrują po biurze i zatrzymują się przed następnymi drzwiami. Otwierają je i wchodzi. Ku ich zaskoczeniu w środku, za biurkiem, siedzi z nosem w papierach Ewgeni.*

DERMENDŻIJEWA. Ty też pomyślałeś, że to Ewgeni? Od tego chodzenia dostają już halucynacji. Strasznie jest do niego podobny.

EWGENI. Państwo w jakiej sprawie?

DERMENDŻIJEWA. Głos też ten sam... Przepraszam, czy pan ma może na imię Ewgeni?

EWGENI. Tak, mam na imię Ewgeni.

DERMENDŻIJEWA. Przyjaciel Ewgeni? Cóż pan tutaj robi, Ewgeni?

EWGENI. Pracuję.

DERMENDŻIJEWA. Jak to, pan pracuje?

EWGENI. Normalnie, na etacie. W czym mogę pomóc?

DERMENDŻIJEWA. Przecież to jest Iwan Antonow!

EWGENI. Kto?

DERMENDŻIJEWA. Iwan Antonow. On się nazywa Iwan Antonow!

EWGENI. Możliwe. Nie widzę w tym nic niezwykłego, że się tak nazywa.

DERMENDŻIJEWA. Czy nic panu nie mówi to nazwisko? Iwan Antonow?

EWGENI. Proszę pani, proszę mi nie zabierać czasu. W końcu to jest biuro.

Państwo w jakiej sprawie?

DERMENDŻIJEWA. My w sprawie owcy.

EWGENI. Jakiej owcy?

DERMENDŻIJEWA. Pan sobie kpi?

EWGENI. Pani jest z nim związana pokrewieństwem?

DERMENDŻIJEWA. Nie. Po prostu referuję tę sprawę, bo on jest zmęczony.

EWGENI. W porządku. Może by więc pani zechciała skrótowo opowiedzieć, w

czym rzecz. Słucham. (*Obydwoje niemieją. Ewgeni bierze słuchawkę*

*telefoniczną, wykręca numer.*) Kolego Popow, tu u mnie jest niejaki Antonow,

zgłaszają pretensje do jakiejś owcy... jak ta sprawa wygląda? Tak? Owca? Nie

ulega wątpliwości?... Nie ma najmniejszej wątpliwości?... Próba ukrycia...

(*Patrzy na Iwana.*) Rozumiem... nie ma świadectwa szczepienia... tak... nawet

przeciwno nosaciznie?... Grzywna?... Rozumiem... Tak, grzywna to najmniejsze,

oczywiście... A za ukrywanie... do odpowiedzialności sądowej...

IWAN ANTONOW (*krzyczy*). Ludzie! Zrozumcie, że to nie owca! To

marynarka! Marynarkaaaaaa!

EWGENI (*odkłada słuchawkę*). Obywatelu Antonow, przecież tak nie można.

W świecie aż huczy od wydarzeń – widzicie, co się dzieje na Bliskim

Wschodzie, giną ludzie, we Włoszech nowy kryzys rządowy, odłożenie

wystrzelenia satelity, nasza delegacja gospodarcza wyjeżdża do Londynu,

zakończenie Targów Lipskich, rozpoczęcie wyprawy do dżungli Brazylii. A pan

mi tu opowiada o tej pańskiej owcy czy marynarce, co to tam było... Nieładnie.

Nieładnie to o panu świadczy. Apolityczność, brak zaangażowania

obywatelskiego. A niby jest pan inteligentnym człowiekiem, wychowawcą

młodzieży. Nieładnie, nieładnie. Poza tym powinien pan mieć do nas więcej

zauwania, skoro mówimy, że to owca, to powinien pan nam wierzyć. Pracujemy

przecież dla pana. Pan może patrzeć na tę sprawę subiektywnie, ze swojego

własnego, jednostkowego punktu widzenia, podczas kiedy my myślimy o całym

społeczeństwie. Czyż nie tak?

IWAN ANTONOW. Ja mam order. Drugiego stopnia. Za uratowanie tonącego.

DERMENDŻIJEWA. Iwan!...

IWAN ANTONOW. O, tu noszę miniaturkę. Widzicie? (*Pokazuje.*) Co, nie widać?

*Ewgeni i Dermendżijewa patrzą na siebie – nie ma żadnego orderu.*

IWAN ANTONOW (*bardzo zatroskany*). Nie widzicie? Tutaj jest, tu. Drugiego stopnia. Za uratowanie tonącego. Naprawdę nie widać? (*Do publiczności.*) Tutaj... mój order... drugiego stopnia... tutaj... tu jest mój order... proszę popatrzeć... proszę popatrzeć na mój order!

### Kurtyna

*Miejski skwerek. Na trawie Iwan Antonow pasie swoją marynarkę. Dermendżijewa siedzi obok niego na stołeczku i robi na drutach.*

IWAN ANTONOW (*do marynarki*). Nie jedz tego rumianku, znowu rozboli cię żołądek. Tam dalej masz koniczynę. (*Do Dermendżijewej.*) Je wszystko, co popadnie. Jeszcze się nabawi nieżytu żołądka.

DERMENDŻIJEWA (*nie podnosząc głowy nad drutów*). Dzisiaj ma apetyt.

IWAN ANTONOW. Jak jest ze mną, to zawsze ma apetyt. O, znowu! Nie widzisz, że to nie jest trawa? To chwasty, tego nie można jeść! (*Pociąga za sznurek, do którego jest przywiązana marynarka – sznurek jest umowny.*) Chodź tutaj! No tak, tutaj możesz... Czekaj no, czekaj, trzeba ten perz wyrwać...

(*Pochyla się i wrywa.*) I gryź wolniej, nie spiesz się, znowu będzie cię piec.

(*Do Dermendżijewej.*) Wczoraj do trzeciej nie mogła zasnąć.

DERMENDŻIJEWA. Trzeba było dać jej sody.

IWAN ANTONOW. Dałem.

DERMENDŻIJEWA (*robi na drutach, nie podnosi głowy*). Nie pomogło?

IWAN ANTONOW. Ona ma bardzo delikatny żołądek. Byle co jej szkodzi. Jak tylko zje za dużo rajgrasu, zaraz dostaje kolki. Może wszystkie owce są takie, nie wiem, ale ta nasza naprawdę... O, znowu wlaźła w margerytki! Przecież to czysta celuloza, czemu cię stale tam ciągnie? (*Przesuwa marynarkę.*) Ten cyklofosamid też jej chyba szkodzi, traci zmysł równowagi... Pojęcia nie mam, jak my ją będziemy strzyc.

DERMENDŻIJEWA. Maszynką.

IWAN ANTONOW. No, lepiej by było iść z duchem czasu. Chemiczny sposób strzyżenia to zawsze coś. Po sześciu dniach runo samo wypada.

DERMENDŻIJEWA. Ale skoro jej to szkodzi...

IWAN ANTONOW. Tak, traci zmysł równowagi, wciąż ją znosi na lewo.

Najlepiej będzie zobaczyć, co piszą na ten temat naukowcy. Nie jesteśmy przecież sami. (*Otwiera książkę, daną mu przez Urzędnika, i czyta. Po jakimś czasie patrzy na zegarek.*) No, chyba już czas. (*Zamyka książkę.*)

DERMENDŻIJEWA. Tak, już pora?

IWAN ANTONOW. Już pora.

*Dermendżijewa odkłada druty, wychodzi i wraca z dwoma wiadrami. Iwan Antonow kładzie marynarkę na stolku, na którym siedział, wychodzi i wraca z drewnianym kozłem, na którym zawiesza marynarkę. Siada na stolku, chwytając jeden z rękawów marynarki i zaczyna ją doić do wiadra. Dermendżijewa znowu bierze się do drutów.*

IWAN ANTONOW. Coś to mleko dzisiaj słabo idzie. (*Doi.*)

DERMENDŻIJEWA. To na pewno przez rajgras. I sadze na trawie.

IWAN ANTONOW. Ale poza tym jest gęste... No spokojnie, spokojnie! (*Szum przelatującego odrzutowca.*) Kiedy jest spokojna, daje więcej. Wystarczy, żeby przeleciał odrzutowiec – i koniec. Ani kropli. (*Pokazuje rękaw.*) O, proszę!

DERMENDŻIJEWA. Wrażliwa jest. (*Robi na drutach, nie podnosi głowy.*)

IWAN ANTONOW. Ale jednak to trzykrotne dojenie daje dobre rezultaty. No, teraz z drugiej strony. (*Przesuwa stółek i wiadro do drugiego rękawa.*) No już nic, nic, stój spokojnie, to tylko wujek ogrodnik, on jest dobry, nic nam nie zrobi... (*Doi.*)

DERMENDŻIJEWA. A umyłeś ręce?

IWAN ANTONOW. Tak, przy hydrancie.

DERMENDŻIJEWA. Wczoraj zapomniałeś.

IWAN ANTONOW. Toteż doilem ją przez chusteczkę do nosa... (*doi*) przecież wiem... Może dzisiaj wieczorem zakwaszę trochę mleka... na śniadanie.

DERMENDŻIJEWA. Pewnie. Będzie smaczne. Owcze.

*W alejce pokazuje się Żoro. Pcha wózek dziecinny, nagle zauważa ich, zatrzymuje się, potem rusza w ich stronę.*

ŻORO. Cześć, jak tam dzisiaj? Udój był dobry? (*Do Dermendżijewej.*) Dzień dobry pani!

IWAN ANTONOW. Jak najlepszy – koło ośmiuset gramów. Z jednego rękawa.

ŻORO. No, tylko tak dalej.

IWAN ANTONOW. Trochę jest ciemne, ale to od rajgrasu.

ŻORO. Nic nie szkodzi. Może w mleczarniach sprzedają lepsze? A wczoraj miała kolkę?

IWAN ANTONOW. Do trzeciej nie mogła zasnąć.

ŻORO. To przez margerytki. A może nawet zjadła parę gladioli, kiedy na nią nie patrzyłeś...

IWAN ANTONOW. Niby jej pilnuję, ale strasznie jest żywa, odwrócić się na chwilę, a ona już w margerytkach. Do róż nie chodzi, boi się kolców, ale w margerytki wchodzi dosłownie co parę sekund.

ŻORO. Ano tak. Moje też jest takie nieusłuchane, chociaż niby jeszcze małe. Wczoraj zostawiłem go na moment przy stole, wracam, a tu na podłodze same skorupy. On tak paluszkami te talerze popychał, jeden po drugim...



IWAN ANTONOW. Może chcesz trochę mleka dla małego? Świeżutkie, dopiero co wydojone.

ŻORO (*patrzy na puste wiadro*). Nie, dziękuję, on je tylko "Humanę", mleka w ogóle nie zna. Teraz kobiety nie chcą karmić... Dbają o biust.

IWAN ANTONOW. Ale weź, weź, ugotujesz je, zrobisz na nim zupkę. Mleka jest, ile chcesz. A owca jest zdrowa, sprawdzona, nie żadna chora albo co.

ŻORO. Wiem, zdrowa. Ale nie mam do czego. Pójdę po jakieś naczynie i zaraz wracam.

IWAN ANTONOW. My tu jeszcze posiedzimy.

*Żoro pospiesznie oddala się z wózkiem.*

ŻORO (*w ruchu*). Dobrze, dobrze.

*Wychodzi.*

IWAN ANTONOW. Codziennie idzie po naczynie na mleko i nie wraca.

DERMENDŻIJEWA. Cóż, roztargniony człowiek.

IWAN ANTONOW. Bardzo roztargniony.

*Wchodzi Lekarz w towarzystwie dwóch dobrze zbudowanych Pielęgniarzy o łagodnym wyglądzie. Od razu ustawiają się w dwóch rogach.*

LEKARZ. A, to ich jest dwoje... Mamy dwa kaftany?

PIEŁĘGNIARZ. Tylko jeden.

LEKARZ. Ale szeroki, jakoś się zmieszczą. (*Do tych dwojga.*) Dzień dobry!

IWAN ANTONOW. Dzień dobry.

DERMENDŻIJEWA. Dzień dobry.

LEKARZ. Ładną mamy dzisiaj pogodę, prawda?

IWAN ANTONOW. Z zachmurzeniem średnim do dużego.

DERMENDŻIJEWA. I z opadami, głównie w godzinach popołudniowych.

LEKARZ (*zauważa druty i robótkę*). To nic, deszcze są teraz potrzebne rolnictwu.

IWAN ANTONOW. Tak, potrzebne.

DERMENDŻIJEWA. Jak najbardziej.

LEKARZ. Mogę zobaczyć, co pani robi? O, jaki ładny ścieg... (*Odbiera Dermendżijewej druty i robótkę i oddaje Pielęgniarzowi.*) A rośliny ze swej strony pomagają zwierzętom, prawda? Żeby rosły, żeby były syte...

IWAN ANTONOW. Tak, pomagają.

DERMENDŻIJEWA. Jak najbardziej.

LEKARZ. A pańskie zwierzę jak się czuje?

IWAN ANTONOW. Dobrze.

LEKARZ. Tak, to widać... A co to właściwie za zwierzę, jeśli wolno spytać?

IWAN ANTONOW. Owca.

DERMENDŻIJEWA. Jak najbardziej.

LEKARZ. Tak, tak, rozumiem. Owca, jak najbardziej. A państwo co – pasiecie ją tutaj?

IWAN ANTONOW. Pasiemy.

LEKARZ. Oboje?

DERMENDŻIJEWA. Na dwie zmiany. On od rana do dwunastej, a ja od drugiej do ósmej. W południe mamy przerwę obiadową. W środę dzień sanitarny.

LEKARZ. Oczywiście, bez przerwy obiadowej jest trudno, każdy musi mieć przerwę na obiad, rozumiem. I co – jakie są rezultaty?

DERMENDŻIJEWA. Rezultaty są doskonałe.

LEKARZ. Oczywiście, rozumiem. A daje dużo mleka?

IWAN ANTONOW. Więcej wełny niż mleka, to taka rasa.

LEKARZ. Aha, to taka rasa. A często ją pan doi?

IWAN ANTONOW. Wprowadzamy teraz eksperymentalnie system trzykrotnego dojenia.

LEKARZ. Trzykrotnego?

IWAN ANTONOW. Jest to bardzo korzystne z ekonomicznego punktu widzenia.

LEKARZ. Rozumiem, rozumiem, tak, oczywiście.

IWAN ANTONOW. Niech pan będzie łaskaw trochę mniej rozumieć. Jak ktoś za dużo rozumie, to ona daje mniej mleka. Denerwuje się. Czy mógłby mi pan podać drugie wiadro, bo to już jest pełne?

LEKARZ (*podaje mu wiadro*). A po ile wiader daje dziennie?

IWAN ANTONOW. Średnio po dwa. W sobotę i niedzielę nie daje, to dni wolne od pracy. Ma pięciodniowy tydzień roboczy.

LEKARZ. Pięciodniowy?

IWAN ANTONOW. Jak wszyscy.

LEKARZ. Tak, rozumiem. Oczywiście. A jak z wełną?

IWAN ANTONOW. Co pana interesuje?

LEKARZ. Czy szybko rośnie, jaki ma kolor, jak ją strzyżecie.

IWAN ANTONOW. Strzyżemy wełnę sposobem chemicznym.

LEKARZ. Jak to chemicznym?

IWAN ANTONOW. Do paszy dodaje się określone ilości cyklofosfamidu. Po sześciu dniach runo samo wypada. Jest to absolutnie nieszkodliwe zarówno dla zwierzęcia, jak i dla wełny.

LEKARZ. To bardzo interesujące. A na mleczość to jej nie szkodzi?

IWAN ANTONOW. Na mleczość jej szkodzi dużo gadania i hałas. Kiedy się hałasuje, to nie daje mleka.

LEKARZ. A czemu pan ją pasie właśnie tutaj? Nie za duży tu hałas dla owcy?

IWAN ANTONOW (*wkłada marynarkę*). Chce pan powiedzieć: nie za duży tu hałas dla marynarki? Nie.

LEKARZ (*zbity z tropu*). Jak to... to nie owca?

IWAN ANTONOW. A pan jak myśli?

LEKARZ. Ja myślę, że to owca.

IWAN ANTONOW. Coś z panem niedobrze, panie doktorze, powinien pan iść do lekarza. Co za owca, nie widzi pan, że to zwyczajna marynarka? Gdzie pan widział, żeby owca miała rękawy? I guziki?

LEKARZ. Sam już nie wiem, czy to owca, czy też marynarka. Raz mi się wydaje tak, raz tak... Chyba jednak owca, co?

IWAN ANTONOW. Normalna schizofrenia. Musi pan się wybrać do psychiatry. Pomogą tam panu.

LEKARZ. Hm!... Jest pan pewien, że to marynarka?

IWAN ANTONOW. Niechże pan się sam przyjrzy.

LEKARZ. A czemu pasie pan tę marynarkę tutaj?,

IWAN ANTONOW. A gdzie mam ją paść?

LEKARZ. Czemu w ogóle musi pan ją paść?

IWAN ANTONOW. Według dokumentów ta marynarka jest owcą.

LEKARZ. Według jakich dokumentów?

IWAN ANTONOW. Według tych.

*Wyciąga dokumenty i podaje.*

LEKARZ. Pokwitowanie zapłaconego podatku... Owca czarnogłowa rasy szumeńskiej, cienkorunna... szczepiona przeciwko nosaciznie... Hm, pierwszy raz zdarza mi się coś takiego!

IWAN ANTONOW. Mogę pana zapewnić, że innymi owcami nie dysponujemy. Ta jedna owca to wszystko, co mamy. I jak mam jej nie paść, przecież zdechnie mi z głodu.

LEKARZ. Pierwszy raz mi się zdarza coś takiego... (*Znowu przegląda dokumenty.*)... językoznawca... czarnogłowa rasy szumeńskiej... Zwariować można!

IWAN ANTONOW. Niech pan sobie nie komplikuje życia, panie doktorze. Proszę przyjąć, że to owca, i sam pan zobaczy, jak wszystko staje się proste.

LEKARZ. Ale to jest marynarka. To oczywiste dla każdego normalnego człowieka.

IWAN ANTONOW. Według pana. A według dokumentów ta marynarka jest owcą.

DERMENDŻIJEWA. Nie wierzy pan dokumentom? Nieładnie, doktorze.

IWAN ANTONOW. Powinien pan mieć więcej zaufania do dokumentów – skoro mówią, że to jest owca, powinien im pan wierzyć, przecież urzędy pracują właśnie dla nas.

LEKARZ (*kiwa głową ze zrozumieniem*). Ja im wierzę.

IWAN ANTONOW. Ja też. (*Pauza.*) Ładną mamy dzisiaj pogodę, prawda?

LEKARZ (*zamyślony*). Z zachmurzeniem średnim do dużego... Co się ostatnio wyrabia z tą pogodą...

*Zamyśla się.*

LEKARZ (*w zamyśleniu robi parę kroków, potem wraca, żegna się Iwanem i Dermendzijewą*). Do widzenia. Do widzenia.

*Wychodzi.*

IWAN ANTONOW (*do marynarki*). My tu sobie gadu, gadu, a ty już dawno powinnaś iść spać. Idziemy!

Wychodzą obydwoje z Dermendzijewa.

### Kurtyna

*Biuro. Gabinet Urzędnika. Siedzi on za masywnym biurkiem. Dzwoni telefon, Urzędnik leniwie podnosi słuchawkę.*

URZĘDNIK. Halo!... (*Nagle skacze, wypręża się.*) Tak, tak, moje uszanowanie, słucham uprzejmie... Jaki nasz człowiek? Na skwerze? Jak to na skwerze? Rozumiem, po prostu na skwerze i już. Nie, to nie nasz. Nie mamy naszych ludzi na skwerze. Nie, nie mamy... nie... Aha, tak, tak, tak, zapewne, tak, z całą pewnością, tak, to skandal, tak, kompromitacja, oczywiście, do czego to podobne, tak... Chciał... Chciałbym... (*Nie może dojść do słowa.*) Chciałbym wyjaśnić: ja zawsze, ze wszystkich sił, własnym zdrowiem... to jakiś nieszczęsny zbieg okoliczności, proszę mi wierzyć, po prostu przypadek, raz na tysiąc, nie ma takiej praktyki, absolutnie, proszę mi wierzyć. U mnie wszystko chodzi jak w zegarku, osobiście jestem codziennie we wszystkich pokojach, nabawiłem się nawet przez to żylaków, mogą nastąpić komplikacje, nie daj Boże jakieś zapalenie, kuleję... nie, praca nie kuleje, skąd... Tak, oczywiście, my zawsze z całą ofiarnością, tak, jeden składa ofiarę z tego, drugi z tamtego, ja składam z moich żylaków, trudno, serce też mam nie w porządku, wieczorami... (*Nagle zdaje sobie sprawę, że rozmówca go nie słucha, że dawno odłożył słuchawkę.*) Halo... Halo...

*Trzyma przez moment słuchawkę, potem ją odkłada i zaczyna nerwowo spacerować po pokoju. Podbiega do telefonu.*

Kolega Popow? Tak, to ja. Posłuchajcie, kolego, ta owca, która była marynarką, czy tam odwrotnie... musi zniknąć. Musi zniknąć, mówię, i to zaraz! Oczywiście, że zgodnie z przepisami, nie będziemy przecież palić rejestrów. Natychmiast, ale zgodnie z przepisami. Jak to nie rozumiecie? Wysyłamy mu pismo, w którym przyznajemy, że to jest marynarka i przepraszamy go, ale to tylko dla niego, rozumiecie? Żeby przestał z tymi demonstracjami na skwerach. A w naszych rejestrach ona pozostanie owcą. I ta owca musi zniknąć, bo ona istnieje tylko na papierze. I kto będzie za nią płacił podatki?... Wiem, wiem, że ona

figuruje we wszystkich rejestrach, przecież gdyby tak nie było, to nie mielibyśmy o czym mówić... Znajdziecie jakiś sposób, kolego, znajdziecie, za to wam przecież płacą... Tylko mi nic nie objaśniajcie, bardzo was proszę, waszym zadaniem jest działać! I to szybko, rozumiemy się? (*Odkłada słuchawkę. Nerwowo spaceruje po pokoju, zapala papierosa i znowu się rzuca do telefonu.*) Popow, jak z tą owcą, znikła? Jak to się nie da? Co się nie da?... Nie pracujecie tu przecież od wczoraj! No to co, że wszędzie figuruje? Zachowujecie się jak dziecko! Czego się nie da? Co za ludzie, głupiej owcy nie potrafią zlikwidować!... No choćby jako zużyte materiały biurowe, klej czy coś takiego... Wyczerpany limit? Racja, pod klej już podciągnęliśmy to i owo... tak... No, kleimy, kleimy, co robić, kiedy jest tyle do klejenia. Tym się nie przejmujecie. Ja ten klej wskazałem tylko jako przykład. Słuchajcie no, a jak wyglądacie z działem socjalno-bytowym? Nie, nie, ten klej to był tylko przykład! Słabo... Tak... A dział gospodarczy? Jakieś krzesło czy fotel? Tak, tak, macie rację. Nieco inny charakter. W takim razie posłuchajcie, weźcie z sekcji ptaków trzy gęsi... aha, wzięliście już... i co? Przerzućcie je do sekcji psów... tak, tak, znakomicie... Stamtąd zabierzcie jednego psa albo lepiej półtora, właśnie... i do zwierząt o ograniczonej mleczności. Dobrze... A co was niepokoi? Aha. No to weźcie z ptaków śpiewających, kolego, to proste, jak wam czegoś brakuje, to weźcie stamtąd i przerzućcie... rozumiem, nie możecie ich ruszyć... A ptaki wodne? Tam też mamy kłopoty? Taak, szkoda, że nie ma gdzie tej owcy podziać... Wiem, wiem, że to trudna sprawa, wiem... No dobrze, kolego Popow, będę się musiał sam tym zająć, coś się wymyśli.

Odkłada słuchawkę. (*Urzędnik wypija jednym tchem kieliszek koniaku i zaczyna nerwowo spacerować po gabinecie.*) Gdzie ją podziać? Gdzie podziać tę kretyńską owcę? Jak ją załatwić? A czas leci... Wyznaczyli mi termin! (*Nagle zatrzymuje się, olśniony jakąś myślą.*) Iwanow! (*Biegnie do telefonu.*) Kolega Iwanow? Iwanow przy telefonie? Kolego, pozwólcie na chwilę do mnie. Tak, to ja... czekam.

*Dalej spaceruje nerwowo po gabinecie, tam i z powrotem.*

*Wchodzi Iwanow, mężczyzna 56-letni. Klania się i staje przy drzwiach.*

URZĘDNIK. Proszę bardzo, siadajcie! (*Lokuje go w fotelu.*) Może kawy? Albo kieliszek koniaku? Było nie było, napijemy się koniaczku, zgoda? (*Nalewa.*) Za wasze zdrowie! (*Pija.*) No, co u was nowego, jak żona, dziecko?

IWANOW. Dziękuję, wszystko w porządku.

URZĘDNIK. Wasz syn dostał się do gimnazjum?

IWANOW. Niedawno się ożenił. Drugi zresztą też.

URZĘDNIK. No, chwała Bogu, chwała Bogu. A wy, kolego? Jak tam zdrowie? Coś mizernie wyglądacie, to niedobrze, trzeba na siebie uważać. Jesteście bardzo potrzebnym człowiekiem w naszej instytucji, kolego Iwanow.

IWANOW. Mam niski poziom hemoglobiny, to dlatego...

URZĘDNIK. Kolego Iwanow, wszyscy mamy niski poziom, sami wiecie, jak teraz jest z hemoglobina, ciągle jej brakuje... Wy zdaje się w tych dniach kończycie sześćdziesiąt lat, prawda?

IWANOW. Pięćdziesiąt sześć. I nie w tych dniach, tylko za trzy miesiące.

URZĘDNIK. Tak. Rada zakładowa poleca wam ukończyć sześćdziesiąt lat jutro.

IWANOW (*unoszą się na fotelu*). Kiedy ja... Czemu jutro?

URZĘDNIK. Należycie do związków zawodowych, prawda?

IWANOW. Należę. Ale mam pięćdziesiąt sześć lat. Czemu nagle sześćdziesiąt?

URZĘDNIK. Siła wyższa, kolego Iwanow, wymagają tego interesy rady zakładowej. Traktujcie to jako polecenie.

IWANOW. Ale nagle w ciągu jednej doby przeskoczyć cztery lata...

URZĘDNIK. Przeskoczycie, kolego, przeskoczycie. Skoro to jest konieczne, musicie przeskoczyć. Tak więc jutro obchodzicie sześćdziesięciolecie. Czy ktoś wie, ile wy macie lat?

IWANOW. Moja żona.

URZĘDNIK. Chodzi mi o instytucję.

IWANOW. Chyba nie, nikt się tym nie interesował.

URZĘDNIK. To świetnie. Tak więc obchodzimy sześćdziesięciolecie urodzin i dwudziestolecie pracy w naszej instytucji. Wszystko jest jasne, prawda, kolego Iwanow?

IWANOW (*skromnie*). Nie wiem, czy zasługuję...

URZĘDNIK. Zasługujecie, kolego, na pewno, taki pracownik jak wy... my na waszą cześć urządzimy bankiet i zjemy pieczoną owcę.

### Kurtyna

*Stół bankietowy. Siedzą za nim: Urzędnik, Ewgeni, Człowiek w garniturze i oczywiście jubilat Iwanow na centralnym miejscu. Biały obrus, lśniące sztucce, Iwanow w nowym garniturze, noże, widelce, talerze, solniczki, wykałaczki, serwetki, pieprz, kwiaty. Pośrodku stołu ogromny półmisek – tam powinna leżeć owca. Ale nie leży, półmisek jest pusty.*

URZĘDNIK (*stojąc*). Koledzy! Zebraliśmy się tutaj, aby zjeść tę oto owcę (*pokazuje na pusty półmisek*) na cześć naszego kolegi Iwanowa, który w dniu dzisiejszym kończy sześćdziesiąt lat. (*Oklaski.*) Sześćdziesiąt lat i zarazem dwadzieścia lat pracy w naszej instytucji – są to rocznice zasługujące na szczególną uwagę i dlatego postanowiliśmy je uczcić tym oto skromnym poczęstunkiem z zakupioną przez naszą radę zakładową pieczoną owcą, którą za chwilę skonsumujemy. (*Zauważa, że Iwanow wpatruje się w półmisek.*) O co chodzi, kolego Iwanow?

IWANOW. Ale przecież tu nie ma...

URZĘDNIK. Czego nie ma?

IWANOW. No, ow... ow... of!... (*Wzdycha głęboko.*)

URZĘDNIK. Co za "ow", kolego Iwanow? Popatrzcie tylko, jaka piękna owca! Co, nie podoba się wam?

IWANOW. Dlaczego, podoba!... Bardzo mi się podoba!...

URZĘDNIK. Przepraszam, koledzy. Ta owca jest zarazem symbolem naszego stosunku do człowieka. Troska o człowieka, szacunek dla niego – te właśnie czynniki określają, kim jesteśmy, jak pracujemy i co myślimy. Bo właśnie od niego (*wskazuje Iwanowa*), od konkretnego człowieka zależy wszystko, zależy nasza instytucja, zależy los społeczeństwa. To dzięki niemu na naszych stołach jest chleb, jest wino, jest mięso. (*Oklaski.*) Dlatego dziś jestem szczęśliwy mogąc się zwrócić do człowieka, do naszego kolegi Iwanowa: Dziękujemy wam, kolego Iwanow, za waszą ofiarną pracę. Przez dwadzieścia lat trwaliście na swoim posterunku...

*Oklaski. Iwanow wstaje i niezręcznie się kłania, Urzędnik go całuje.*

URZĘDNIK. No, koledzy, zaczynamy! Ewgeni, pokraj owcę!

*Wiąże sobie na szyi serwetkę. Pozostali robią to samo. Ewgeni bierze duży nóż, widelec i zaczyna rozkrawać wyimaginowaną owcę. Nóż miejscami utyka w kości, miejscami wraca, by poprawić cięcie, miejscami Ewgeni woła: "O, chrząstka!"... Wreszcie owca jest pokrajana.*

Dziękuję, Ewgeni. No proszę, koledzy, bierzcie, każdy niech sobie sam nakłada. Smacznego!

*Nakłada sobie pierwszy.*

*Urzednicy jedzą owcę, przełykają, szczękają widelce i noże.*

EWGENI (*do Urzędnika*). Tłuszcz panu prysnął, może posypać solą?

*Bierze solniczkę, sypie. Pozostali jedzą, przełykają. Za nimi stoi Iwan Antonow z marynarką w ręku i patrzy na nich z uśmiechem. Stół z jedzącymi urzędnikami znika. Iwan Antonow zwraca się do marynarki.*

IWAN ANTONOW. Zgodnie z pismem liczba dziennika 6305 jesteś znowu marynarką. Moją zamszową marynarką!

*Wkłada marynarkę i kłania się.*

Kurtyna